

RODZINA

rolska



MIESIĘCZNIK
ILUSTROWANY
WARSZAWA

ROK X JULY 1936

Do Czytelników!

Uwzględniając ciężkie położenie materialne wielu naszych Czytelników, obniżyliśmy 1 stycznia b. r. prenumeratę naszego pisma.

Odtąd prenumerata Rodziny Polskiej z przesyłką do domu wynosi:

roczna 6, — zł
półroczna 3, — zł
kwartalna 1,50 zł
cena egz. 50 gr

Kto zaś zjedna nam trzech nowych, płatnych prenumeratorów na jeden rok, otrzymywać będzie nasze pismo przez jeden rok GRATIS.

Adresować: Redakcja Rodziny Polskiej, Warszawa Krak. Przedmieście 71

Dnia 15 stycznia 1936 roku odbyło się w Centrali P. K. O. w Warszawie 39-te zrzędu losowanie książeczek na premjowane wkłady oszczędnościowe Serji I-szej:

Po złotych 1000 otrzymują właściciele następujących książeczek:
1.012, 3.299, 4.167, 6.055, 8.274, 8.458, 9.147, 16.890, 17.283,
21.234, 21.853, 24.544, 25.119, 25.717, 29.668, 30.701, 31.504, 33.841,
38.032, 46.160, 46.322.

„MÓJ PIES”

Miesięcznik ilustrowany, poświęcony kynologii. Szczegółowo omawia sprawy związane z życiem i kulturą psa. V-ty rok wydawnictwa.

Adres Redakcji i Administracji:

Warszawa, 6 Sierpnia 47, tel. 8-65-73.

Konto P. K. O. 9.898.

Cena ogłoszeń zatekstowych: $\frac{1}{2}$ str. — zł 700, $\frac{1}{4}$ — zł 380, $\frac{1}{8}$ — zł 200, $\frac{1}{16}$ — zł 120, $\frac{1}{32}$ — zł 70, $\frac{1}{64}$ — zł 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOŚI:
R O C Z N I E:

Polska 6 zł.
Niemcy 5 R. mk.
Francja 25 frank

Czechosłowacja 40 kor. cz.
Ameryka 2 dolary
Inne kraje 7 fr. szw.

PÓLROCZNA prenumerata w Polsce — 3 zł; KWARTALNA — 1.50 zł. CENA POJEDYŃCZEGO numeru — 50 gr.
Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. 14.664, Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów (Rachunek Wydawnictw).

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71. — Telefon: 240.15.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 15—17. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Drukarnia Archidiecezjalna — Warszawa, Krak. Przedmieście 71.

RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK
ILUSTROWANY



ROK X.

WARSZAWA—LUTY 1936.

Nr. 2.

U ŹRÓDEŁ KRYZYSU

„Czytając rozprawy i rozważania na temat kryzysu w dziedzinie gospodarczej, politycznej i społecznej, nie możemy się oprzeć pesymistycznemu wnioskowi, że wszyscy autorowie, którzy na ten temat piszą, i którzy o nim myślą, ślizgają się po powierzchni zjawisk, a nie wchodzą w głąb. Dają trafne diagnozy choroby, albo nawet rozsądne rady, jak usuwać braki w poszczególnych dziedzinach życia zbiorowego. Mają jednak zawsze jedną lukę: nie sięgają do prawdziwych przyczyn i źródeł „kryzysu”, albo, sięgając do nich, nie ogarniają całości”.

Słowa powyższe napisał ks. dr. Jan Piwowarczyk w niedawno ogłoszonym artykule p. t. „Deficyt i równowaga budżetu moralności” (Por. „Głos Narodu” z dnia 24 grudnia 1935 r.). Zagadnienie, które poruszył ten kapłan, należy dziś do najważniejszych. Idea naczelna naszego społecznego życia gubi się w codziennych jałowych walkach i wciąż „zmienia się na drobne”. Odzywają się coraz częściej głosy, że dzisiejszej społecznej rzeczywistości brak wielkiego celu.

O CO LUDZIE WALCZĄ? Spójrzmy na te gromady zacietrzewionych wrogów. Jedni drugim wyrrywają atuty z rąk: na polu gospodarczym, politycznym, duchowym...

Każda gromada nosi w zanadrzu receptę na utrwalenie szczęścia, a życie tłucze się po staremu. Miljony, setki milionów nieszczęśliwych!... I dziś — jak przed tysiącletkami — leje się krew... groźba nowych wojen... nienawiść w narodach... w rodzinie... wśród najbliższych. Wlecze się człowiek ze swem złudzeniem zdobycia szczęścia na ziemi — ale nie ma odwagi, czy nie chce do głębi swego sumienia zajrzeć — i postawić jasno pytanie:

— Czy właściwie się nie mylę? Czy wogóle możliwym jest utrwalenie mego bytu tu na ziemi i w niezamąconym spokoju i szczęściu?

Są porywy w tłumach, w jednostkach, w partjach, w organizacjach; są wzloty, odczucia chwilowe jakiejś niezgłębionej harmonii — ale całość i tło życia szare, nudne i zgnębione. Chodzą ludzie jak „kołowaci”. Chodzą po ulicach Warszawy i innych stolic świata i po uliczkach miasteczek i drogach wsi i „zapadłych kątów”, wyrzekają, pełni ciągłych żalów i pretensyj

w kłótniach i sporach. A inni z gotowem już receptami stają przed tłumem — i rzucają hipnozę i malują wizję szczęśliwości ziemskiej i obiecują, i grożą i złorzeczą... Ale w każdym — i w przywódcy i w człowieku z tłumy — szarpanina i w głębi sumienia niepewność i ciągły strach unicestwienia i pytanie: — „No, dobrze, przypuścimy, że uda mi się utrwalić w sobie lub w innych to problematyczne szczęście tu na ziemi... Przypuścimy, że moja recepta okaże się najlepszym sposobem uspołecznienia — ale co potem? Gdy przyjdzie odejść z tej ziemi?”

I ludzie w tej wzajemnej szarpaninie, w tych wzajemnych sugestjach, zapewniających, że każdy z nich znalazł najlepszą receptę na utrwalenie ziemskiego szczęścia — jak mrówki na globie, w jakimś zawrotnym pędzie, krążą... napadają na siebie... budują... niszczą... i znowu budują — ale ku czemu?

DO CZEGO TE TŁUMY IDĄ? Te gromady, które codziennie obserwujemy, żyją bez zmysłu o celach najwyższych i najważniejszych. Ich energia przechodzi, jak przez sito, rozproszkowana na codzienne banalności...

Do czego te tłumy milionowe idą? Kto i co ich pcha? Czy instynkt, czy świadomość, czy może jakaś siła, która ułożyła sobie plan zakreślony na tysiąclecia i ten przeprowadza na całym globie — posuwając losami ludzi, narodów, całych ras — jak pionkami? Gdy trzeba zniszczenia, przychodzi kataklizm — gdy trzeba odnowienia, narasta w jakimś pokoleniu, w tej czy w innej części ziemi, skupiona kosmiczna siła, która wzmacza cywilizację.

Ta gra światowa na przestrzeni kontynentów i przez wieki całe trwająca, odbywa się jednak ponad wolą naszą. My ludzie tylko łudzimy się, że kierujemy losami świata. Ta Potęga, panująca nad naturą, nad żywiołami, nad naszym globem, kierująca mgławicą, odległą o miljardy lat świetlnych i kontrolująca jednocześnie ruchy elektronów w atomie — jest naszym Panem. Rodzimy się i umieramy bez naszej woli. Ta Najwyższa Potęga kieruje nas do celów, przez Nią zakreślonych.

Tak mówi rozum, tylko zimny, zdrowy rozsądek, obserwacja praw życia. Tak musi myśleć nawet ten, kto niema Łaski Wiary w Istnienie Boga w Trójcy Św. Je-

dynego i w objawioną przez Niego religję i prawodawstwo, kierujące sumieniem i zawarte w Kościele. Tak musi myśleć każdy logiczny umysł, zwłaszcza umysł przywódcy, który chce realizować swoje cele na tym globie i z tymi ludźmi — nad którymi ma najwyższą kontrolę ta przemożna Potęga, rządząca wszechświatem.

DLACZEGO JEST CHAOS NA ŚWIECIE? Czy nie rozumniej przeto byłoby przedewszystkiem tę Najwyższą Potęgę poznać i cele, jakie Ona zakresliła światu i ludzkości — zanim się wzięć mamy do innych zamierzeń. Zdrowy rozsądek tak nakazuje ułożyć życie — aby od celu najwyższego, który i tak będzie urzeczywistniony przez Potęgę kierującą wszechświatem, uzależnić wszystkie nasze posunięcia w życiu indywidualnym i społecznym.

Dlaczego jest chaos na świecie? Bo ludzie chcą zdobyć sobie jakiś urojony los szczęścia na własną rękę, według swoich planów — w oderwaniu od planu tej Istoty Wszechpotężnej, która kieruje losem całego globu i całej natury.

Bądźcobądź, jesteśmy organicznie związani z ziemią. Należymy do tej wielkiej rodziny żywych istot, które ziemia wydała: roślin, zwierząt i ludzi. Człowiek jest wprawdzie istotą różną od świata roślinnego i zwierzęcego, gdyż ma świadomość twórczą, pragnienie nieskończonego i wiecznego trwania — tę iskrę władz tajemniczych o nieskończonym zakresie, będącą odbłaskiem Istoty Najwyższej i zwanej duszą nieśmiertelną. Ale jednak, jako organizm, człowiek jest całkowicie związany z kolejami, jakie przechodzi w czasie i w przestrzeni cała natura.

A więc rozum wskazuje, że naszym najgłówniejszym zadaniem jest poznać te prawa i ten plan, który ma urzeczywistnić cała natura z woli swego Stwórcy.

OGNIWA ŚMIERCI I NARODZIN. Pierwsze prawo — to ustawiczna przemiana. Tak jak w ciągu roku, tak samo w ciągu wieków i tysiącleci, zmienia się wszystko na ziemi. Giną i powstają gatunki roślin i zwierząt. Zamierają i odradzają się całe plemiona i rasy ludzkie. Giną stare i powstają nowe cywilizacje. Nawet całe kontynenty — jak Atlantyda — znikają z powierzchni globu ziemskiego. Słowem — ustawiczne ogniwa śmierci i narodzin.

Dlatego wniosek, — że utrwalenie bytu zrównoważonego całkowicie i nienaruszalnego w harmonji i zadowoleniu tu na ziemi, dokąd natura jest taką, jaką ją znamy — jest niemożliwe.

Wszystkie zatem dążenia — czy jednostki, czy społeczeństwa — wszystkie programy socjalne, które zmierzają do uszczęśliwienia całkowitego człowieka w sferze jedynie natury, tu na ziemi — są złudzeniem i kłamstwem.

Obecnie dominują w narodach europejskich teorie, wprowadzane w życie — o charakterze socjalistycznym. Eksperyment w Rosji, próby ubóstwienia państwa w różnych krajach, kolektywizm i zmechanizowanie jednostki, zmaszynowanie przejawów codziennego życia — wszystkie te próby, które się odbywały w naszych czasach i przed naszymi oczami — usiłują wprowadzić rzekome szczęście do społecznego życia, przez utrwalenie zorganizowanego materialnego bytowania człowieka tu na ziemi.

Ale to fikcja. Wszystkie bowiem eksperymenty, oparte na zasadzie tak zwanego materializmu dziejowego, same w sobie noszą pierwiastki rozkładu i nie-

powodzenia. Narody, państwa za pomocą tylko mechanicznej organizacji, statutów i nakazów nie zmieniają natury ludzkiej, ani nie powstrzymają pochodu śmierci, która wszystko po czasie zmiata z oblicza ziemi i przemienia w nowe formy.

Dopóki w człowieku będzie z jednej strony pragnienie nieskończoności — a z drugiej śmierć — dopóty człowieka żadne formy i warunki materialnego bytowania nie będą mogły całkowicie zadowolnić. W dostatku i obfitości materialnych zdobyczy będzie on tęsknił ciągle za tem, co nie przemija, za tymi, którzy mu byli najbliżsi, a którzy już odeszli.

WIELKA TRAGEDJA DZIEJOWA. Żyjemy w czasach wielkiej tragedji dziejowej. Ludzie zapragnęli za wszelką cenę być szczęśliwi. Ludzie nowoczesni pogrążyli się w materji — i techniką, żelazem, stalą, węglem, elektrycznością chcą rozpalić ten wielki ogień, któryby rozświetlił losy ludzkiego istnienia na ziemi, płomień, któryby zapalał tęskniące i ostygłe serca.

Ale w naszych czasach ta próba się załamuje. Obrzymie kolosy maszyny, fabryki rozpedzone siłą genjuszu ludzkiego... stają, — psuje się coś w organizacji tego mrowiska, jakim jest dzisiejsza ludzkość. Zagłada w oczy zdumionemu i przerażonemu światu... nędza. — Co to? Przecież pieniądze są — nie zginęły — coraz ich więcej. Materjały — produkty wysiłków i pracy ludzkiej i dzieło maszyn — też są nagromadzone po śpichlerzach świata, po składach fabrycznych.

Jest moc pożywienia, ubrania, jest pełno budulcu dla domów... A miliony ludzi chodzą po wszystkich krajach „kulturalnego” świata... głodne, obdarte, bezdomne!

Ku czemu to wszystko zmierza? Jakieś zawikłanie tragiczne! Ekonomiści, politycy próbują tłumaczyć. Używają wyszukanych określeń i terminów: „konjunktura”, „nierównomierny podział złota”, „zamknięte rynki zbytu”, „granice celne”...

Ale te misterne słowa oznaczają już tylko skutki choroby, jaka ogarnia świat. Ale gdzie jest istotna przyczyna? Co to za siła, która ludzkość, zaopatrzoną w nadmiar produkcji i miljardy złota, pchnęła na skraj przepaści?

Oto najważniejsze pytanie. Odpowiedź muszą ludzie znaleźć, aby się uratować.

CO MÓWI ŚWIATU SUMIENIE. Aby znaleźć tę decydującą odpowiedź, trzeba się skupić, wejść w głębi własnego sumienia. Zewnętrzne obserwacje nie pomogą: wytworzą jeszcze większy chaos, przygniotą myśl, zniechęcą, bo za bardzo powikłane to wszystko, co oczy nasze widzą i uszy słyszą. Za wielkie jest to widowisko — przerasta zdolność orjentacji u największych i najbardziej genialnych obserwatorów.

Ale skupienie w głębi własnego ducha stworzy odpowiedź, która jest wielką, prostą i najpotężniejszą. Tam — w głębi naszej istoty duchowej, w najtajniejszych zwojach naszej jaźni, naszych pragnień — jest głos cichy, prosty i powszechny, który jest głosem nigdy nie zamierającego sumienia, zawsze nieomylnego ostrzegawcy. I ten przedziwny głos mówi:

Człowieku, nowoczesny, pyszny i tragikomiczny pigmeju, który uroiłeś sobie, że maszyną, mocą techniczną, cyfrą i liczbą i siłą obliczeń, zdobędziesz na ziemi szczęście — łudzisz się!... Ani twego serca głodu, ani twego strachu przed śmiercią żaden na świecie kolektyw, racjonalizacja, mechanizacja — nie ukoją!



Odpoczynek na szczytach gór Silvreta na pograniczu austriacko-szwajcarskiem

Wpadłeś w błędne koło, bo chcesz ubóstwić i utrwalić to, co jest zależne i zmienne.

Ani pieniądź sam, ani nawet syty żołądek, ani ciepłe i wygodne mieszkanie nie wypełnią wszystkiego — bo to może dać tobie podłoże istnienia, ale treść samą musi wykuwać twój duch. Dopiero przy sytym żołądku i wygodnym mieszkaniu, życzliwe serce, poświęcenie, współczucie — i ten kontakt z twoim Stwórcą — który jest Nieskończony i Wieczny i Niezmienny — może zaspokoić twe pragnienia.

Człowieku XX wieku, pyszny i tragikomiczny, który zamierzyłeś zbudować największą cywilizację — a wytworzyłeś największe głupstwo, jakie świat zna — nie znajdziesz spokoju, wolności, równości i szczęścia, dokąd nie wprowadzisz w swoje maszynowe i ustawowe w swych narodach i społeczeństwach tej największej potęgi, która jedna tylko może wszystko ożywić, zharmonizować i uporządkować — prawa najwyższego, płynącego z Miłości Najwyższej — to jest Wiary i Boga!

Dziwne to i zdumiewające, że teraz, u szczytu technicznej i materialnej kultury świata człowiek spostrzegł, że bez Boga, który kieruje sumieniem i daje najwyższą sankcję dla ludzkiego uczciwego współżycia, niepodobna utrzymać zdrowych norm postępowania ani w życiu społecznym, ani w rodzinie.

Ludzie chcieli oderwać tworzywo — materję od Najwyższego Stwórcy i Jego duchowego prawa. I to się nie udało! To, co przeżywa obecnie świat — to największe, znane w dziejach bankructwo!

WNIOSKI PRAKTYCZNE. *A jakie są wnioski praktyczne?*

1) *Nie uda się naprawa gospodarcza i społeczna, jeżeli przedtem nie nastąpi odrodzenie duchowe — wstrząs sumień ludzkich. Ustawy, bał, strach, przymus, nawet widmo nędzy — nie poprawią świata, jeżeli sumienie zakamieniałe nie drgnie. Jeżeli serca nie zmiękną, jeżeli zawiść, przemoc i egoizm będą decydowały i nadal o wszystkim.*

A więc — jeżeli chcemy ruszyć naprzód, jeżeli chcemy wyrwać się ze szponów tego chaosu ekonomicznego i duchowego, który się wzmaga — musimy prowadzić prawo Boże do naszego codziennego życia.

Niech się zbiorą ludzie ducha, w których sumienie jeszcze pozostało żywe i wrażliwe; niech ułożą plan, jak ratować ginący zmaterializowany świat!... Niech przywódcy duchowi dadzą jaknajwięcej przykładu własnym życiem! Niech w tym momencie przełomu wprowadzą w czyn tradycję pierwszych chrześcijan — żywą wiarę w codziennych czynach! Niech okażą serce! Niech idą do mas!...

2) *Drugi zasadniczy wniosek ten — że świat cywilizowany, a zatem i Polska, podzielą się na 2 zdecydowane obozy: ludzi — ubóstwiających materję i ludzi — uzależniających organizację materialnego życia od prawa Bożego.*

U nas ludzie muszą skupić się w tej akcji odnowienia życia duchowego koło organizacji, która jest w posiadaniu Prawdy Objawionej i sił życiodajnych, zwanych Sakramentami — to jest wokół Kościoła Chrystusowego, Kościoła katolickiego, który ma znamię potęgi najwyższej i którego żadna siła nie obali — bo rola tej organizacji, założonej przez Chrystusa, musi być zgodnie z planem Boga wykonana.

JANUSZ RAWICZ

CO BĘDZIE Z TYM NARODEM?

Przez cały szereg krajów Europy przechodzi obecnie fala antysemityzmu, czyli, ściślej mówiąc, zaburzeń przeciwydowskich. Fala ta nie ominęła oczywiście i Polski, gdzie mamy do zanotowania ostre terenty w wyższych zakładach naukowych i inne tego rodzaju fakty. Nie możemy pochylać gwałtów, bez względu kto jest ich sprawcą, sądzymy jednak, że w kwestji żydowskiej nie wystarcza tylko potępienie wybryków i czynów nieodpowiedzialnych młodzieży, o ile ona je popełnia. Na sprawę tę należy spojrzeć z innego, szerszego punktu widzenia. Trzeba usunąć przyczyny, wywołujące niepożądane zjawiska.

Ile jest Żydów? Według obliczeń żydowskich, jest ich przeszło 16 mil. 850 tysięcy. W tem w Stanach Zjednoczonych Ameryki Półn. — 4 mil. 500 tys., w Polsce — 3 mil. 300 tys., w Rumunii 1 mil. 300 tys., w Rosji Sow. 2 mil. 800 tys. i w Niemczech 600 tys. Jak widzimy, w Polsce znajduje się drugie skolei największe skupienie żydostwa. Nasze dzisiejsze statystyki urzędowe utrudniają ustalenie ilości Żydów u nas, gdyż uwzględniają nie narodowość obywateli, lecz język ojczysty. Wiadomo zaś, że część Żydów podaje jako swój język ojczysty język polski. Urzędowo więc Żydzi stanowią mają w Polsce, według stanu z 1921 r., 7,8 proc. ogółu obywateli. Największe skupienia Żydów znajdują się w Warszawie (26,9), w woj. białostockim (12,5), woj. nowogrodzkim (12), w woj. lubelskim (10,9), wołyńskim (10,6) i poleskim (10,4). W poznańskim było Żydów 0,1 proc, na Pomorzu jeszcze mniej. Rzecz ciekawa, że w wojsku Żydzi stanowili zaledwie 1,8 proc.

Oczywiście obecnie statystyka ta nie może odpowiadać rzeczywistości. Zwiększyła się bowiem liczba Żydów na Śląsku i w Wielkopolsce, zaatakowane zostały i Pomorze, zwłaszcza Gdynia, gdzie Żydzi powoli opanowują handel, szczególnie hurtowy, i skupują grunty przeznaczone pod budowę.

Według najnowszych danych, pod względem przyrostu naturalnego Żydzi w Polsce zajmują dalsze, bo zaledwie czwarte miejsce — 9,9 proc. na tysiąc obywateli. Do ostatniego roku przyrost ludności żydowskiej wynosił już niewiele więcej niż ilość emigrantów żydowskich, opuszczających Polskę w tym samym okresie.

Ten stan rzeczy, upoważniający do pewnego rodzaju optymizmu, niestety, wskutek zahamowania emigracji żydowskiej nawet do Palestyny, nie jest już dziś tak pomyślny. Wogóle zaś w ostatnim dziesięcioleciu wyemigrowało z Polski, przeważnie do Palestyny, około pół miliona Żydów.

Żydzi obliczają sami, iż ilość Żydów urzędników państwowych wynosi u nas zaledwie 1 proc. ogółu urzędników, z czego $\frac{3}{4}$ przypada na urzędników w Małopolsce, pozostałych jeszcze z czasów austriackich. W rzeczywistości odsetek ten jest wyższy, gdyż musimy uwzględnić Żydów, pozornych chrześcijan, podających się za Polaków. Szczególny napływ Żydów daje się zauważyć ostatnio w sądownictwie, gdzie Żydzi występują narazie w roli aplikantów.

Domena żydowska w Polsce są: handel, przemysł i rzemiosło. W tych dziedzinach Żydzi stanowią bezwzględną większość. Jedynie zachodnie dzielnice Polski dotąd broniły się skutecznie przeciwko napływowi Żydów z innych miejscowości. Statystyka Izb Rzemieślniczych w Wilnie, Lublinie, Białymstoku, Brześciu nad Bugiem i Łucku stwierdza ogromną przewagę Żydów we wszystkich rodzajach rzemiosła. Największe zażydzenie

rzemiosła występuje w Wilnie. W Warszawie, stolicy Państwa, 56 proc. warsztatów rzemieślniczych należy do Żydów. Drobny handel żydowski i rzemiosło wspierane są przez bezprocentowe kasy żydowskie, powołane do tego zadania. Kasy te subwencjonuje komitet amerykański. Wpływ z tego źródła wynosił w roku 1932-33 541.762 zł. Ogółem kasy te w wymienionym okresie wydały bezprocentowych pożyczek 14.668.614 zł. Najwięcej kas tych znajduje się w woj. warszawskim, bo 99. Ogółem w Polsce w lutym 1931 r. było 669 kas tego rodzaju. Dziś jest ich więcej.

Handel polski, poza Wielkopolską, Pomorzem i Śląskiem, pozostaje zaledwie w zarodku, w przemyśle zaś czynny jest w bardzo znacznym stopniu kapitał żydowski krajowy i zagraniczny, pod obcą firmą. W miastach b. Kongresówki, Małopolski i w woj. wschodnich coraz więcej nieruchomości przechodzi w ręce żydowskie. Ostatnio występuje nowe zjawisko. Żydzi, korzystając z kryzysu gospodarczego, skupują majątki ziemskie z licytacji i urządzają w nich warsztaty pracy dla rzekomych przyszłych rolników w Palestynie.

Jeżeli się zważy, że w Palestynie panują zupełnie inne warunki klimatyczne niż u nas i inny ma charakter praca na roli, można powątpiewać czy ci żydowscy „chałcownicy” zechcą kiedykolwiek opuścić nasz gościnny kraj, by szukać szczęścia w ziemi praojców. Charakterystyczny jest również pęd młodzieży żydowskiej do zdobywania wykształcenia agronomicznego w szkołach wyższych. Można przypuszczać, że Żydom, po opanowaniu w Polsce miast, chodzi obecnie o wzmocnienie swego stanowiska osiedleniem się na roli. Gdyby to istotnie stać się mogło w większych wymiarach, rozwiązanie sprawy żydowskiej u nas napotkałoby na nowe poważne utrudnienie.

Największe zaś wpływy mają pozatem Żydzi w zawodach wolnych, zwłaszcza w lecznictwie i adwokaturze. Niedawno w Warszawie na 1.140 adwokatów Żydów było 512, w Krakowie na 429 adwokatów 337 Żydów, zatem aż 78,5 proc. We Lwowie panują takie stosunki, iż do władz samorządu adwokackiego na trzech Żydów dostał się jeden tylko Polak i to z liczby „nie-szkodliwych” i jeden Rusin. Stosunki te doprowadziły w Krakowie do demonstracyjnego opuszczenia przez adwokatów Polaków sali obrad Izby Adwokackiej. W Warszawie zaś Żydzi adwokaci i ich przymierzeńcy ponieśli dotkliwą klęskę podczas ostatnich wyborów do Izby. Nawiasem mówiąc, liczba aplikantów adwokackich wszędzie zatrważająco wzrasta.

Lekarzy Żydów mamy również bardzo wielu. Stan lekarski znajduje się na drodze zmajoryzowania przez tę „mniejszość” narodową. Dentystyka jest już przeważnie w rękach żydowskich.

Brak dokładnych statystyk utrudnia poważnie zorientowanie się w stosunkach w innych zawodach, zwłaszcza, że Żydzi chętnie zmieniają swe nazwiska na t. zw. „nowopolskie” i przybierają imiona chrześcijańskie, nawet bez chrztu. Wystarczy jednak stwierdzić, iż zażydzone jest znacznie dziennikarstwo i potężne wpływy żydowskie dają się zauważyć w literaturze i kołach muzycznych. Nie jest również pozbawiony ich teatr i krytyka teatralna. O ile zaś chodzi o przemysł filmowy, jest on bezspornie żydowski. Wystarczy powiedzieć, że wszystkie kina w Warszawie są albo całkowicie własnością Żydów, albo też Żydzi są ich współwłaścicielami.

Słowem, wpływ Żydów na kulturę polską jest z każdym rokiem coraz większy. Bez przesady twierdzić można, że wytwarza się u nas jakaś nowa „kultura” polsko-żydowska, odrzucająca tradycje narodowe, lub je wypaczająca, oparta na negowaniu, jeśli nie na wyraźnym zwalczaniu, moralności chrześcijańskiej i Kościoła katolickiego.

Wielkiem poparciem planów żydowskich, co do opanowania naszego życia umysłowego, stała się niefortunna reforma szkolna, przeprowadzona przez p. Janusza Jędrzejewicza, wbrew zapewne zamiarom reformatora. Reforma ta utrudnia młodzieży wiejskiej dostęp do szkół średnich i wyższych. Żydzi natomiast, jako mieszkańcy miast, w których na znacznej przestrzeni kraju stanowią większość, znaleźli się w sytuacji uprzywilejowanej.

Napływ młodzieży żydowskiej do szkół wyższych wywołuje niezadowolenie wśród młodzieży polskiej. Stanowisko zaś narodowców w tej sprawie w ostatnich czasach zaczyna podzielać i inne ugrupowania młodzieży. To samo da się zauważyć już i w starszym społeczeństwie.

Zagadnienie żydowskie staje się u nas kwestją palącą. Wszelkie zaś mechaniczne środki odsunięcia tej sprawy na później okazać się muszą bezowocne. Nie ulega wątpliwości, że emigracja do Palestyny, podlegająca różnym utrudnieniom ze strony państwa mandatowego, W. Brytanji, sprawy żydowskiej naprzód w sposób poważny nie posunie. Dojrzewa więc w społeczeństwie naszym przekonanie, że winna być ona rozwiązana w szerszym znacznie zakresie. Przedewszystkiem, muszą się znaleźć środki o charakterze międzynarodowym, popierające szybszą emigrację Żydów z Polski, gdyż skupienie ich na naszych ziemiach staje się niebezpiecznym źródłem wszelkich fermentów i tamuje normalny rozwój gospodarczy kraju. Żaden naród na świecie nie pogodzi się z taką rolą Żydów, jaką oni odgrywają i w dalszym ciągu odgrywać zamierzają u nas. Nie możemy uznać prawa przybyszów do monopolu w handlu i przemyśle oraz do przewodnictwa duchowego narodowi polskiemu jako warstwy naczelnej — inteligencji. Żydzi nie mogą u nas zająć miejsca dawnej szlachty, stać się „klasą panów”.

Oprócz zabiegów o wzmożenie emigracji, Polska musi, chce czy nie chce, pomyśleć o prawodawstwie, zapobiegającym supremacji żydowskiej w naszym życiu zbiorowym.

Myśl o tem, że kwestja żydowska może być rozwiązana tylko w wymiarach światowych, zaczyna kiełkować i wśród samych Żydów. Trzeba przy tej sposobności stwierdzić, że Żyda w golusie, t. j. w rozproszeniu, należy podzielić zgrubsza na trzy kategorie. Do pierwszej należą syjoniści różnych odłamów, jedni z nich szczerze pragną zdobyć sobie własne państwo i zacząć żyć pełnią życia narodowego, drudzy zaś syjonizm traktują jedynie jako środek do odrodzenia narodowego Żydów, ale bynajmniej nie ujawniają zamiaru zaprzestania być ciężarem dla innych narodów. Do kategorii drugiej zaliczamy żydowskich potentatów finansowych. Ci, chociaż wspierają ruch syjonistyczny, za dobrze czują się w diasporze i również nie marzą o Palestynach, czy innych siedzibach żydowskich. Wreszcie trzecia kategoria składa się z Żydów religijnych, pozostających pod rozkazami rabinów i cadyków — „cudotwórców”. Ci grzeszną wciąż w wierzeniach pseudo-mesjanistycznych i obecny ruch pro-palestyński uważają za rzecz zdradną, heretycką. Właściwie Żydzi religijni dotąd stanowią w naszych miasteczkach większość żydostwa.

Uwzględniając to wszystko, zwrócimy uwagę na świeżą publikację żydowską p. Manesa Fromera p. t.

„Nasza wina, nasza hańba, nasza walka” — (Warszawa, Wydawnictwo Nowoczesne). Autor, wychodząc ze stanowiska syjonistycznego, domaga się rozwiązania kwestji żydowskiej w zakresie światowym. Jego zdaniem, sprawa ta powinna być ustalona przez Kongres Światowy Żydowski. O zwołanie tego Kongresu toczy się właśnie wśród Żydów zacięta walka. Kongres miałby nakazać przymusową emigrację Żydów i w odpowiedni sposób ją przeprowadzić, oczywiście, za zgodą i przy udziale państw zainteresowanych.

P. M. Fromer zdaje sobie sprawę, że pomimo planowanego przez Żydów przesiedlenia z Palestyny wszystkich Arabów („bez ich materialnego pokrzywdzenia”) na półwysep arabski, Ziemia Obiecana dla tyłu milionów Żydów może okazać się za ciasna. Doradza więc skorzystanie z innych terenów. Żydzi rosyjscy mogą osiedlać się np. w Birobidżanie. Nie trzeba zapominać, że tereny proponowane Żydom dla ich kolonizacji przed 40 laty, dotychczas są wolne, w Angoli i Ugandzie i t. p.

Najciekawszą dla nas jest myśl o zmuszeniu do emigracji również i żydowskich bogaczy, rządzących światem wielko-kapitalistycznym. Oczywiście, p. Fromer nie tyle pragnie widzieć w Palestynie te wpływowo osobistości, ile ich kapitały. Można jednak żywić poważną wątpliwość, czy kapitały magnatów żydowskich można istotnie uważać za własność bezsporną żydostwa światowego.

Nawołując Żydów do wzbudzenia w sobie poczucia siły materialnej, poprostu fizycznej, i zachęcając ich do walki o nowe życie i do zwalczania pomysłów „nowego getto” (vide Niemcy Hitlera), p. M. Fromer tak przemawia pod adresem najwidoczniej nieżydów:

„Gdy nam grożą „Zmierchem Izraela”, śmiercią bizonów i żubrów, — jeden nasz los, — umrzemy, ale wraz z Filistynami. Niech to będzie ostrzeżeniem — w młodych duszach żydowskich płoną nowe ognie. One zapalą Wschód, wyzwolą z pęt głód i nędzę, a jeśli będzie im przepisane lec, to chyba tylko pod gruzami tej „cywilizacji” i trupami tych, którzy ich na to skazą”.

Słowem, p. Fromer w razie potrzeby obiecuje całemu światu cywilizowanemu losy Rosji carskiej... Warto to zapamiętać. Liczy też autor tej ciekawej broszury i na nową wojnę światową.

„Przyszła zawierucha wojenna, która nas ogarnie pewnego dnia mimo naszej woli, nie może nas znowu zastać nieprzygotowanymi. Dobrze to bowiem wiemy i przeczuwamy, że przyszła wyjna, to dalszy etap wyzwolenia jeszcze uciemiężonych narodów, to przebudzenie się Imperjum Brytyjskiego, to nowy otwarty świat możliwości na froncie społecznym”.

Słowa te to znowuż groźba pod adresem W. Brytanji, gdyby nie była powolna zamierzeniom światowego żydostwa.

Żydzi jednak zawsze popełniają ten sam błąd. Zawsześnie, na szczęście dla innych narodów, odsłaniają swoje karty, ujawniając swą skrajną megalomanię. Chcą zapalić Wschód, który bardziej nawet niż Zachód nie znosi Żydów...

Wszystko to, co powiedzieliśmy, niech służy za dowód, że kwestja żydowska jest palącą i brzemienną, w razie jej zaniedbania, w nieobliczalne następstwa dla nas, jako narodu o kulturze katolickiej.

Kwestję żydowską musimy rozwiązać sprawiedliwie, nie kierując się w stosunku do Żydów nienawiścią, lecz zgodnie ze słusznymi interesami państwa polskiego i narodu. Dwóch gospodarzy w Polsce obok siebie żyć nie może. Rozumieją to, jak widzimy, już i niektórzy Żydzi, zapytując wraz z p. M. Fromerem: „Co z tym narodem (Żydem) będzie?”

K. M. MORAWSKI

«DUCE,» «NEGUS» I «LIGA»

„Le Temps” w numerze z dnia 4 października z. r. opublikował słynną już dzisiaj odezwę intelektualistów francuskich „na rzecz obrony Zachodu”.

Duszą jej był znany pisarz Henryk Massis, autor dobrej książki o zbliżonym tytule „Défense de l'Occident”. Podpisało ją zaś grono wybitnych twórców francuskich. Na ich czele ujrzelśmy nazwisko znakomitego członka Akademii francuskiej, Maurycego Donnay; obok niego — kustosa Wersalu, subtelnego historyka epoki i epepei ludwiciańskiej, Piotra de Nolhac, dalej — Henryka Bordeaux, pisarza o głębokim instynkcie katolickim; dalej — historyka Ludwika Madelin, autora pomnikowego dzieła o rewolucji francuskiej; dalej — monarchistę i hagografa Ludwika Bertrand; dalej — dyplomatę i publicystę — Andrzeja Chaumeix; dalej podróżnika Andrzeja Bellesort; dalej — romansopisarza Kludjusza Farrère i wielu, wielu innych o nazwiskach nieraz mniej znanych, a jednak na gruncie francuskim świetnych i zasłużonych.

Odezwa ta, świecąca takim blaskiem nazwisk pierwszorzędnych, że jej nie dorównała inna, wydana nieco później, a ozdobiona również poważnymi podpisami, jak Claudel i Mauriac, miała na celu poparcie Mussoliniego i zadań, które, zdaniem podpisujących ją, ma jeszcze względem cywilizacji zachodniej do spełnienia ów italski mąż stanu.

Z reprodukcji, którą na tem miejscu zamieszczamy, dzięki niezwyklej uprzejmości włoskiego ministerstwa propagandy, uśmiecha się do nas „Duce”, jak zapewne nie uśmiechał się zbyt często od owej daty 12 września, którą fotografia została zadatowana.

Jakkolwiek bądź obróć się bowiem losy wszczętej przez niego wojny, pewnym jest tyle, że wyzwał do boju nie tylko czarną Abisynję, ale czarniejszą jeszcze ligę — i to nie tę, „Narodów”, ale ową, którą zapewne miał na myśli wielki poeta włoski Alfieri: „orrída Lega ché la quintessenza del mal far terrestre”¹⁾.

Jak bowiem wszyscy niemal wielcy działacze o tradycji „niepodległościowej” (proszę mi wskazać jednego, któryby do tajnych związków nie należał), wiązał się Mussolini całą swoją formacją z temi związkami, wyszłemi z reguły z masonerii i stale się przeciwko nim buntował. Wyrazem trwałym, pisany ogólnofaszy-

stowskiego buntu przeciw „ohydnej lidze”, stało się, między innymi, noszące oficjalne piętno dzieło akademika włoskiego, Aleksandra Luzio p. t. „La Massoneria e il Risorgimento italiano”.

W dziele tem uczony turyński obala śmiało, choć może niezawsze z powodzeniem tradycję, jakoby odrodzenie Włoch nie zostało było dokonane w porozumieniu z masonerją; my pozwolimy sobie — „in grosso” — innego być zdania, z tem zastrzeżeniem wszakże, że masonerja, jak to zawsze czyni, niewątpliwie kazała odrodzonym Włochom słone płacić sobie rachunki za odzyskaną wolność, jedną zaś z pozycji generalnego rachunku miała być przekreślona przez Mussoliniego pozycja rozterki z Watykanem.



Śmiałym twierdzić, że wielu z katolików polskich nie docenia tak zawiłych problemów. Coprawda rozmawiałem kilkanaście dni temu z jednym z najwybitniejszych dostojników polskiego Kościoła, który, bynajmniej nie entuzjazmując się dla akcji włoskiej, a wyrażając w związku z nią obawy o dalsze położenie Watykanu, z tych czy innych przyczyn, deklarował jednak sympatje swoje po stronie Włoch.

Innym jednak razem spędziłem wieczór w towarzystwie katolicko-ligowem, w towarzystwie, w którym dobrzeby się czuli Claudel, Mauriac czy Maritain, nie zaś sygnatarjusze wyżej cytowanej odezwy. Uderzyło mnie, jak rozmówcy moi, doskonali katolicy, ale przerniknięci liberalnym pacyfizmem „Ligi”, dostatecznie zresztą zorientowani pod względem uświadomienia historycznego, z podświadomych czy instynktownych względów nie godzili się jednak doceniać interesu Anglii, tak ściśle sprzężonej z masonerją, w podważeniu stanowiska Watykanu.

Ciągle się słyszy, że zawiodła w tym konflikcie nowoczesna dyplomacja włoska, że ani jej się nie umywa do znakomitej, niefaszystowskiej jej poprzedniczki. Znów — owoc to propagandy, psychozy, jakiej tak potężnych wybuchów świadkami jesteśmy od przeszło półrocza.

Być może, że Mussolini, zapalczywy jak każdy niemal dyktator, tak skutecznie zwymyślał na wiosnę sir A. Edena, że ten później — w rządzie angielskim — stał się wydatnym agitatorzem na niekorzyść swojego antagony. Być może, że faszystowskie metody i w innych

¹⁾ „ohydna Liga, ta kwintesencja ziemskiej złoczyńności”.

krajach, jak to jest dobrze nam znane, bywają mało aksamitne, mniej może aksamitne. Ale co innego, o ile chodzi o właściwe, dyplomatyczne, problemowe, przygotowanie kampanji. Dwa tu się zwłaszcza na pierwszy plan wybijają problemy: egipski i oczywiście abisyński, wewnątrzno-abisyński. Co do tego ostatniego, to zauważyć należy, iż już we wrześniu obce koła dyplomatyczne w Rzymie były poinformowane o tem, że wielu uda się kupić „ras” ów — ta transakcja była zatem z góry przygotowana, obmyślana i skalkulowana. Co zaś do problemu egipskiego, to, nie wysuwając wcale hipotezy, jakoby Włochy zmontowały były ten bunt, niczem „Sowiety” w Indjach czy na Jawie, należy w każdym razie uwzględnić włoski dar przewidywania, ich znaną przenikliwość, że właśnie w tej chwili wybuchną w Kairze rozruchy, skłaniające — jak poucza nas świetny reportaż paryskiego „Je suis partout” — Anglję do większej ustępliwości, właśnie w chwili, kiedy ona będzie najżywiej zajęta szkodzeniem Italji i jej planom.

* * *

Pomijając zresztą już kwestję „ras” ów, której doniosłość kwestjonowana bywa przez niektórych korespondentów wojennych, zwrócić wystarczy uwagę na jaskrawo fałszywą sytuację, w jakiej egipski problem „Wafdu” stawia, żeby jak nie wiemy, do „hipokryzji” Anglję. Nie trzeba było przez cztery lata „wielkiej wojny” „rozhuśtywać” (używam tu wyrażenia pewnego dyplomaty austriackiego) wszystkie ludy wszystkich kontynentów hasłami wilsonistycznymi, nie trzeba było później do „Ligi Narodów” dopuszczać wszelakich

Abisynij i Liberyj, ażeby potem „faire machine en arriere” i przeciwstawiać się słusznym niewątpliwie aspiracjom nacjonalistów-fellahów do niezależności i wolności. W Addis-Abebie liberałowie, w Kairze Stołypinowie; w Abisynji — głosiciele wolności ludów, Kościuszkwowie w mundurach khaki, w Egipcie zaś — stanowcy przeciwnicy wzniosłej doktryny, „samostanowienia ludów”, Sir Anthony Eden, Sir Samuel Hoare i tym podobni nie czują może śmieszności swojego położenia, dobrze zato czuje się stara dyplomacja włoska, w jaki kozi róg ich zapędziła.

Rzym, koniec 1935 r.

P. S. Korespondencja ta gotowa już była do druku, kiedy nad „tragiczną Europą” przewaliły się wstrząsające wypadki: układ premjera Francji z ministrem spraw zagranicznych Wielkiej Brytanji, a — mówiąc językiem Mussoliniego — „bez Genewy” czy nawet „przeciwko Genewie”.

W obliczu świąt Bożego Narodzenia, które głoszą wszechświatu pokój dobrej woli, mniej nas interesują kulturalowe i kulisowe incydenty „Quai d’Orsay” czy Izby Gmin, niż głębokie współczynniki pokoju czy wojny europejskiej. I zdaje nam się, że w tych dniach przelomowych Anglja odsłoniła swoją słabość, całą kolekcję „pięt Achillesa”, którym na imię: Chiny, Egipt, obawa przed komunizmem we Włoszech, obawa przed „Anszlusem”, obawa może przed włoską awjacją, druga już fala zamieszek w łonie przesławnej swojej floty — słowem pyta się laik czy historyk, czytelnik gazet i zwykły „człowiek z ulicy”, czy Anglja jest dziś jeszcze Anglją Pitta i Kitchenera i czy zuchwalec-Mussolini naprawdę dzielić będzie losy Bonapartych i Hohenzollernów.



Narciarze alpejscy przy pracy

FRYDERYK SCHNEIDER

RELIGIJNE WYCHOWANIE DZIECI W RODZINIE

Religijne wychowanie dzieci jest najważniejszym zadaniem rodziców. W dawnych wiekach, kiedy ono jeszcze zupełnie lub przeważnie spoczywało w ich rękach, było również za takie uznawane. Lecz rozwój szkolnictwa i oświaty, oraz rozszerzenie pedagogicznej działalności Kościoła — wszystko to sprawiło, że wychowawczą tę rolę przejmowała z wolna, ale we wzrastającej wciąż mierze: szkoła, nauczycielstwo i kler. Toteż w szerokich kołach rodziców mogło się zrodzić mniemanie, jakoby oni uczynili już zadość obowiązkowi wychowawczym, o ile tylko posyłali swe dzieci do odpowiednich szkół i pozwalali im uczestniczyć w wychowawczych instytucjach Kościoła.

Żywiono bowiem głębokie przekonanie, że w katolickiej szkole ludowej wszystkie przedmioty naukowe i całe też wychowanie owiane jest tchnieniem katolickiego ducha, oraz widziano, że religijne wychowanie dzieci zabezpiecza z jednej strony nauka historii biblijnej, którą wykładał przeważnie nauczyciel świecki, i nauka o katechizmie, spowiedzi i Komunii świętej, której udzielał miejscowy duchowny, z drugiej zaś uczęszczanie dzieci na Mszę i nabożeństwa dla nich szczególnie urządzone. Niekiedy nie odmawiano już nawet modlitw porannych, gdyż miejscowy proboszcz lub nauczyciel przekładali wspólne modlitwy poranne do kościoła bezpośrednio przed początkiem mszy szkolnej.

Wobec takiego nastawienia rodziców do religijnego wychowania dzieci, okresem, w którym obowiązki religijnego wychowania dzieci nie mogły być poruczone innym czynnikom wychowawczym, było najwcześniejsze dzieciństwo aż do szóstego roku życia. Toteż odpowiedzialność za religijne wychowanie dzieci w tym okresie ciążyła wyłącznie na rodzicach. Wielu zaś z nich zdawało się jednak, że wskutek dziecinnego niedojrzałości bardzo mało można i trzeba zrobić w tym okresie pod względem religijnego wychowania. Kto jako katolicki nauczyciel przyjmował kandydatów do szkoły, wie, że nikłe były często owoce i wyniki domowego, religijnego wychowania, jak mało częstokroć ci sześciolatek wynieśli z katolickich domów, iluż nie umiało nieraz zrobić znaku krzyża świętego lub odmówić porządnie kilku modlitewek, iluż bardzo rzadko lub wcale nie było w kościele. Wogóle życie religijne posiadali bardzo słabo rozwinięte.

Scharakteryzowane codopiero nastawienia i poglądy rodziców na swe obowiązki wychowawcze są z gruntu błędne i z wielu przyczyn godne pożałowania. Zarówno rodzice, oczekujący wszystkiego od szkoły, jak ci, którzy sądzą, że w okresie dzieciństwa istnieją bardzo nieznaczne zadania, dotyczące wychowania religijnego, znajdują się w grubym błędzie.

W dawnych czasach, kiedy duch chrześcijański owiewał jeszcze całe życie publiczne i władał nad wszystkimi dziedzinami kultury, nie wyłączając szkolnictwa, mimo to jednak rodzice zdawali sobie sprawę, że ciąży na nich odpowiedzialność za religijne wychowanie dzieci i dlatego też otaczali je troską. Niemal wszystkie, wielkie pod względem religijnym osobowości pochodzą z rodzin bogobojnych, które od wczesnej młodości urabiały ich religijny charakter. Niektóre z tych osób, w napisanych przez się już w wieku dojrzałym pamiętnikach i autobiografiach podkreślają z naciskiem wysokie znaczenie tego religijnego wychowania rodziny. Pewien zaś autor wartościowej książki o religijnym

wychowaniu młodzieży zaryzykował zdanie, że izba dziecinną bardziej niż uniwersytet i życie warunkuje właściwości indywidualnego, religijnego usposobienia duchowego.

Nieusprawiedliwionem jest również mniemanie, jakoby do religijnych we właściwym znaczeniu przeżyć dziecko było zdolne w tak nikłej mierze, że w tym najwcześniejszym okresie niema godnych wspomnienia zadań dla właściwego, religijnego wychowania.

Na odparcie tego wskazać można „święte” dzieci. Przykłady ich stwierdzają wymownie, jak wielki stopień pobożności i religijności można osiągnąć już w wieku dziecinnym. Ale przeciw temu nasuwa się zaraz zarzut, że w tych i podobnych razach idzie o anormalne dzieci, o wyjątkowe wypadki; o cudowne pod względem religijnym dzieci. Ale również w granicach normalnych możnaby znaleźć u dzieci z najwcześniejszego okresu, a więc jeszcze z przedszkolnego okresu — religijne objawy, religijne wyobrażenia, religijne uczucia, świadomość grzechu, oraz religijnie ugruntowaną, jakkolwiek prymitywną etykę. Być może sam czytelnik ma jeszcze potwierdzające to wszystko wspomnienia z własnego, wczesnego dzieciństwa. Również biografje i pamiętniki dostarczają pewnych przykładów ilustrujących religijność z okresu wczesnego dzieciństwa, a także i naukowe wykazy o religijnym rozwoju dziecka, które się pojawiły w ostatnich dwóch dziesiątkach lat. Dzienników z zapiskami o religijnym rozwoju dzieci katolickich prawie że niema.

Rousseau odmówił dziecku prawdziwego, religijnego życia, a ten jego pogląd znalazł wielu stronników. Ale chodzi tu jednak o kwestję faktyczną, która na mocy podjętych badań, przemawia tymczasem przeciwko Rousseau. Zwłaszcza wyniki badań A. Mehle (Religijność dziecka, 1928) obalily teorię Rousseaua.

Dla tego, kto wierzy w Boskie pochodzenie duszy dziecka, jest samo przez się zrozumiałem, że w jej istocie musi być ugruntowany „pewien pociąg do Boga”, że w nowonarodzonego dziecku obok wielu innych dyspozycji tkwi z natury pewien, o różnej pod względem religijnym mocy, religijny kapitał, który uruchamiają i napełniają treścią wpływy otoczenia.

Badania wykazały, że religijne życie dziecka rozwija się z reguły pod wpływem religijnej osobowości. Jest nią zazwyczaj matka. Matka i dziecko są tak ściśle nawzajem połączeni, jak drzewo ze swoim owocem. Rzekłbyś, że z woli natury dziecko musi otrzymywać od matki nie tylko pokarm materialny, ale i duchowy. Przed każdą bramą, która wiedzie do zdobycia przez dziecko nowego poznania i nowego przeżycia, stoi jego matka. W ten sposób pośredniczy ona w zdobywaniu przez nie również religijnych przeżyć i poznań. Niejedną pobożną matką przeszłości może pod tym względem służyć za wzór matkom czasów współczesnych. W ołtarzu bocznym jednego z kościołów wiedeńskich znajduje się obraz, przedstawiający ukrzyżowanego Zbawiciela, a przed Nim prostą niewiastę, która prowadzi do krzyża swego siedmioletniego chłopca i poucza go, żeby, modląc się, patrzył na Ukrzyżowanego. Owa niewiasta — to matka małego Klemensa Hofbauera. „który później, jak jasna pochodnia Zgromadzenia Redemptorystów, rozwijał tak błogosławioną działalność w Austrii, Niemczech i Polsce.

Ojciec którego czas i siły pochłania doszczętnie praca zawodowa, przyzwyczajają się szybko do tego stanu rzeczy. Widzi, że religijne wychowanie jego dziecka, zostając pod opieką żony, znajduje się w dobrych rękach. Zapomina nazbyt łatwo, że on jako ojciec ma również obowiązki względem religijnego wychowania swych dzieci, że obok matczynej pieczołowitości musi być podjęty wysiłek przez ojca w celu uzupełnienia, zaokrąglenia i pogłębienia religijnego wychowania dzieci. Stąd pochodzi, że ojciec, który pierw był nierządkiem przedstawicielem całego religijnego życia, a wskutek tego i religijnego wychowania rodziny, przeważnie zaniedbuje się bardzo znacznie pod tym względem lub wprost porzuca rolę czynnika działającego cokolwiek w tej dziedzinie. Teoretycy pedagogii dziecięcej, a zwłaszcza religijnego wychowania dzieci, poznali się nazbyt dobrze na zgubnych następstwach, jakie taki stan rzeczy pociąga zarówno dla rozwoju osobowości młodego pokolenia, jak wogóle dla charakteru religijności całego narodu, toteż starali się obudzić w ojcu świadomość ciążyących na nim obowiązków i pouczyć go, jak je ma spełniać.

Oprócz religijnej osobistości przyczynia się do rozwoju religijnych skłonności dziecka cała religijna atmosfera domu i jego religijne zwyczaje, jak również świadome normy wychowawcze. Dziecko wrasta — nie zdając sobie sprawy — w religijny świat rodziny. Początkowo idzie tu tylko o samo, zewnętrzne, autorytatywne naśladowanie bez równoczesnych, wewnętrznych przeżyć religijnych. Zwolna jednak, zapomocą sugestji, rezonansu i przekazywania uczuć, rozwijają się, jakkolwiek skromnie zrazu, religijne przeżycia, według poglądu badaczy coś od trzeciego roku życia. Wraz z postępującym rozwojem zdolności myślenia w czwartym i piątym roku życia do pogłębienia i rozszerzenia religijnych przeżyć u dzieci przyczyniają się również religijne zdolności i poznania.

Ta dziecięca religijność różni się w istotnych ryśach od religijności dorastającego i dorosłego człowieka.

Ma ona zgoła inny charakter, powstaje wskutek naśladowania religijnych czynności otoczenia i wiernego przyjmowania tego, czego dziecku udzielają dorośli. Religijne wyobrażenia dzieci nie pokrywają się z takimi wyobrażeniami starszej generacji, jakkolwiek one zostały od niej przejęte, lecz odpowiednio do dziecięcego stanu rozwojowego są prymitywnie i naiwnie dziecięce. Ponieważ dziecko jest jeszcze zupełnie niezdolne do abstrakcyjnego myślenia, wszystkie jego początkowe wyobrażenia religijne są skonkretyzowane, materialne, zmysłowe.

Wiemy z rozlicznych świadectw, że wiele dzieci początkowo wyobraża sobie Boga za jakąś rzecz, za kulę, powietrze, światło lub oko i zwolna przechodzi do antropomorficznego wyobrażenia Boga, podczas gdy u innych nosi ono zgóry antropomorficzny charakter.

Nawet dorosły tworzy sobie wyobrażenie o czemś nieznanym zapomocą już znanych pojęć. Tak postępuje również dziecko. Uzyskuje antropomorficzne wyobrażenie Boga, przenosząc na nie rysy osobowości, która stanowi dlań najwyższy autoryt. Najwyższym zaś autorytetem dla dziecka jest przeważnie ojciec. W ten sposób można łatwo wyjaśnić znaczenie obrazu ojca dla obrazu Boga. O ile ojciec jest surowy, nieczuły, twarde, wówczas dziecko tworzy sobie obraz Boga, który jest doń podobny: wizerunek surowego i karzącego Boga-Jehowy, a odpowiednio do tego w religijności dziecka przeważają motywy lęku i strachu, które sprawiają, że nawet religijność dorastającego nosi na sobie jakiś suro-

wy, ponury i skrupulatny charakter. O ile zaś dziecko ma dobrotliwego i kochającego ojca, wówczas rozwija się w niem także odpowiednie wyobrażenie łaskawego Boga-Ojca. Tak tedy istnieje często zależność między charakterem i postępowaniem rodzzonego ojca, a dziecięcym wyobrażeniem o Bogu, które niekiedy pozostanie w pewnej mierze nawet i wówczas, gdy się już wyzło dawno z lat dziecińczych.

Tu więc istnieje pewna odpowiedzialność, o której wielu ojców niema wcale pojęcia.

A jednak nie jest tak, jak twierdzili psychologowie, jakoby pojęcie Boga było we wszystkich wypadkach przeniesionym obrazem ojca. Również inne postacie z okresu wczesnego dzieciństwa i to nietylko męskie, lecz również niewieście, mogą służyć za materiał do stworzenia pojęcia Boga. Przykładów pod tym względem dostarcza Timm Kröger w książce swej „Neue Nowellen”. A również może się zdarzyć, jakkolwiek wyjątkowo, że wyobrażenie Boga rozwija się wręcz przeciwnie do obrazu ojca i matki.

Lechner ze wspomnień dziecińczych pewnej kobiety przytacza na to dowód: „Jako dziecko miałam bardzo surowego ojca. Również moja matka przy każdej popełnionej przeze mnie swawoli wskazywała na Boga, który wszystko widzi i sięgnie swem ramieniem z nieba, by mnie ukarać. Ja wszakże poczęłam wkrótce w to nie wierzyć, gdyż w mojem wyobrażeniu powstawał zwolna obraz Boga, jako męża, który musi być nieskończenie dobry, ponieważ nigdy nie karał mnie za moje wybryki, w przeciwieństwie do mojego ojca, który za każdą swawolę karciał mnie surowo. Owszem doszłam nawet do przekonania, że Bóg naprawia wszystkie błędy, które popełniałam”.

W podobny sposób, jak pojęcie Boga, uzmysławia sobie dziecko wszelkie inne religijne wyobrażenia: aniołów, djabłów, niebo, czyściec i przymioty Boże. Każdy czytelnik we własnych wspomnieniach ze swego dzieciństwa będzie jeszcze posiadał takie uzmysłowione, religijne wyobrażenia, tak, że przytaczanie dalszych przykładów jest zbyteczne. I przypomni sobie również to, że mimo tego antropomorficznego myślenia był całkiem świadom różnicy, jaka zachodziła między nim a Bogiem.

Do osobliwości dziecięcej religijności należy dalej to, że dziecko zapatruje się na nią „jako na urządzenie zastosowane do swego własnego, małego ja”. Modlitwa jest przeważnie prośbą, by od Boga uzyskać coś dla własnej, małej osobistości.

Jednakże w tej religijności ukazują się niekiedy rysy, które już nie są tylko egocentryczne. Przejawiają się również altruistyczne motywy, mianowicie w modlitwie za rodziców i rodzeństwo, krewnych i znajomych, owszem nawet za zwierzęta i rośliny. Również w modlitwennym życiu dziecka można wskazać modlitwy, w których dziecko dziękuje Bogu za wszystko dobre, jakie ludziom sprawił.

Dziecko wierzy mocno, że Bóg wysłucha jego modlitwy, o ile tylko modliło się dość pobożnie, chociażby spełnienie jego modlitwy wymagało od Boga cudu. Podobnie jak mały Gotfryd Keller prosi, być może, dziecko o pomoc Bożą w zrobieniu ciężkiego zadania rachunkowego, lub modli się, by za plamę atramentową w swym zeszytacie nauczyciel został porażony ślepotą, lub — jak drugi Jozue — o zatrzymanie się słońca, o ile grozi mu spóźnienie. Dziecko wierzy w cudy, lubi je, prosi o nie. To usposobienie można wzmocnić zapomocą lektury i opowiadania bajek.

Prosi również Boga nawet w ciągu już uczęszczania do szkoły ludowej o oznajmienie woli Bożej w formach, które przypominają średniowieczne sądy Boże lub starożytny wyrocznię. Dwa przykłady dla uzmysłowienia.

Pewne dziecko siedzi po spowiedzi podczas burzy w kościele, niespokojne powodu miotających niem wątpliwości w ważność odbytej właśnie spowiedzi. Dla uspokojenia więc siebie zawiera z Bogiem jednostronny pakt. Po najbliższej błyskawicy chce obliczyć czas następującego po niej grzmotu. O ile on nastąpi po 10, to ma to znaczyć rozstrzygnięcie Boże, że spowiedź była ważna, o ile zaś nastąpi wcześniej, wówczas była nieważna i dziecko musi raz jeszcze wrócić do krtek spowiednicy. Tymczasem grzmi dopiero przy 11, i teraz jest dziecko spokojne.

Inne dziecko ma znów wątpliwości, czy zgrzeszyło i czy P. Bóg się gniewa. Postanawia w następujący, szczególny sposób zdobyć odpowiedź Bożą. Na oknie w swoim pokoju kładzie kasztany, które spadły na ziemię z drzew stojących przed domem, ale są jeszcze osłonięte zieloną powłoką. Wie z doświadczenia, że one popękają wcześniej lub później. Umawia się z sobą w ten sposób. O ile następnego ranka otworzy się powłoka, to ma to być znak, że jego stosunek do Boga jest dobry; o ile zaś pozostanie ona zamknięta, jak poprzedniego wieczora, oznacza to, że Bóg na nie się gniewa. Następnego rana, zaraz po obudzeniu, śpieszy dziecko do okna, by otrzymać odpowiedź. Musi jednak stwierdzić, że Bóg odmówił mu odpowiedzi. W nocy zadał wiatr, który zmiotł z okna kasztany. Ogarnął więc dziecko jeszcze większy niepokój.

Jak w tych wypadkach prosi dziecko o bezpośrednią interwencję Bożą i wierzy, że dozna jej lub nie dozna, tak w innych znów wypadkach widzi działanie interwencji świętych, aniołów lub złych duchów; ono tłumaczy — podług słów Sprangera — magicznie swoje otoczenie i swoje życie. Na tem polega trzecia właściwość religijności dziecięcej.

Z tą religijnością dzieciinną jest związana zawsze pewna, jakkolwiek prymitywna, moralność. Myśl o niebie, piekle, czyśćcu i o doczesnych i wiecznych nagrodach służy jako motyw dla etycznego postępowania dziecka; wyobrażenie Boga, który jest wszędzie obecny i wszystko widzi, Anioła Stróża, który jest zawsze w pobliżu niego i cieszy się z jego dobrych czynów, pamięć o Dzieciątku Jezus lub dzieciństwo świętych działają jako hamulce przeciw grzesznym myślom i czynom i wywołują pobożne myśli i dobre czyny.

Te cztery rysy: podkreślanie swojego ja, uzmysławiania i ucłowieczniania, wiara w cuda, oraz prymitywna moralność — znajdują się w religijności każdego dziecka, jakkolwiek w bardzo różnej mierze pod względem indywidualnym. Z upływem lat dzieciennych zanikają one coraz bardziej i bardziej, o ile dziecko otrzymuje umiejętne wychowanie religijne. Punktem środkowym religijności jest już nie ja, lecz Bóg i Jego święci. Zostaje wyparte nawskroś egoistyczne usposobienie, a obok usprawiedliwionej miłości własnej daje się zauważyć miłość bliźniego, obok Ja występuje Ty.

Dziecko uczy się coraz więcej, że Bóg jest duchem, a my posługujemy się tylko ziemskimi obrazami poto, by urobić sobie stałe wyobrażenie o bycie nadziemskim. Porzuca coraz bardziej swoją przesadną wiarę w cuda,

która może wprost wyrość na tęsknotę za cudami i oczekuje i modli się tylko o pomoc Bożą, która przejawia się dla wewnętrznych cudów we właściwym tego słowa znaczeniu, a polega na wewnętrznych działaniach łaski i na ogólnem kierownictwie naszych losów.

Etyczne postępowanie jest umotywowane we wzrastającej mierze przez myśl o ciężących obowiązkach, o pięknie dobrego i przez dążenie upodobnienia się do Boga i bohaterkich postaci Kościoła. Pojęcia religijne coraz bardziej się wyjaśniają i uduchowniają i pokrywają z nauką Kościoła.

Przemiany te jednak dokonują się w wieku dzieciennym przeważnie bez wstrząsów wewnętrznych i bez zmian autonomicznego charakteru dziecięcej religijności, zapomocą funkcjonalnego i intencjonalnego religijnego wychowania. Dziecko zachowuje się przytem najbardziej receptywnie; obcy autorytet, autorytet rodziców oraz świeckich i duchownych nauczycieli, jakoteż religijna atmosfera, która wypełnia otoczenie, sprowadza je wolniej lub prędzej.

Zmiana heteronomicznie przejętej religijności w autonomiczne posiadanie, albo odrzucenie lub indywidualne ukształtowanie odziedziczonej religijności następuje dopiero w okresie dojrzewania, kiedy wraz z stopniowo wzrastającym uczuciem swobody i siły oraz rozwiniętej czynności myślenia zanika ta bezkrytyczna receptywność, a zamiast autorytetu obcego występuje autorytet własnej, osobistej siły myślenia. Jest ona jednak nie tylko krytycznym filtrem przeciwko wpływom zewnętrznym, lecz również to wszystko, co pozostaje niewyjaśnione z okresu dzieciństwa, a nawet to, co zdaje się już być organicznie zrośnięte, musi się usprawiedliwić przed reflektującym myśleniem".

Dynamika, tempo, towarzyszące objawy i mniej lub więcej szczęśliwy i wartościowy rezultat końcowy tego religijnego rozwoju w okresie dojrzewania zależą w istotnej części od charakteru wychowania religijnego dzieci, jakkolwiek nie możnaby powiedzieć, że dobre, religijne wychowanie dziecka strzeże przed wstrząsami religijny rozwój w okresie dojrzewania i zapewnia mu pomyślny koniec. Również ono nie oszczędzi młodzieńcowi religijnej walki duchowej i, jak nas o tem poucza historia rozwoju poszczególnych ludzi, którzy w dzieciństwie otrzymali dobre, religijne wychowanie, a jednak później sprzeniewierzyli się pod względem religijnym.

Ale przy tych wypadkach wyjątkowych nie można przeoczyć, że religijne wychowanie dziecka przeważnie odgrywa jednak rozstrzygającą rolę w religijnych walkach z okresu dojrzewania i w religijnem ułożeniu późniejszego życia. Winkler mniema, że zależność późniejszego, religijnego wrzenia od charakteru religijności z okresu dzieciństwa, można porównać z rozwojowym procesem wina, którego fermentacja w piwnicy i późniejsza dobroć zależne są od rodzaju moszczu, jaki został złożony.

Religijne wychowanie w pierwszych latach dzieciństwa wywiera zatem rozstrzygający wpływ nie tylko na formę i głębię dziecięcej religijności i etyki, lecz także na religijność i moralność młodzieńca i dojrzałego, dorosłego człowieka. W tym stanie rzeczy jest zdumiewające poniekąd, że taka nikła jest literatura o religijnem wychowaniu dzieci w katolickiej rodzinie.



J. ST. CZARNECKI

75 - LECIE « ZACHĘTY »

Siedemdziesięciopięciolecie istnienia Tow. „Zachęty Sztuk Pięknych” w Warszawie jest niewątpliwie świętem polskiej kultury.

Działalność tej instytucji stanowi przecież w dziejach polskiej kultury jedną z najpoważniejszych i najtrwalszych pozycji. „Zachęta” stała się bowiem kontynuatorem tej opieki nad sztukami plastycznymi, której w czasach niepodległości używali im król i możni.

Zasługą Stanisława Poniatowskiego, renowatora zamku królewskiego i twórcy Łazienek, było wywołanie w społeczeństwie zapału do sztuk pięknych. Wywodząca się z tych czasów szkoła Bacciarellego i Ludwika Letronne stworzyła pierwszy zastęp artystów, których szeregi pomnożył następnie istniejący od r. 1816 wydział sztuk pięknych przy uniwersytecie.

Obie te instytucje urządziły co roku pokazy prac swych uczniów. Ale było to bardzo mało dla dotarcia do szerszych mas.

Znacznym krokiem naprzód w tej dziedzinie było otwarcie przez Henryka Hirsza wystawy i sprzedaży dzieł sztuki w sklepie przy Krak. Przedmieściu w pałacu Potockich.



Borzym Kaz.

Portret p. Cz.

Rozszerzeniem tej płaszczyzny kontaktu artysty z odbiorcą było założenie w r. 1857 przez dwu cudzoziemców, Smyoschiego i Tabacchiego, całej wystawy w hotelu Europejskim. Ci kunsthendlerzy lansowali przedewszystkiem „obrazy zagraniczne”.

Polska brać artystyczna postanowiła więc pomyśleć jakoś o własnych interesach. W rezultacie zorganizowano dwie wystawy: 27 marca 1858 r. w pałacu Teppera na Miodowej u Gersona Wojciecha, a 3 lipca tegoż roku w pałacu Mokronowskich, na Krakowskim, w miejscu gdzie dziś Fundusz Kwaterunkowy postawił kamienicę. Wystawa, w której wzięło udział 33 artystów, przyniosła 700 rubli na czysto.

Te próby zachęciły artystów do stworzenia stałej placówki. Dwa lata trwały zabiegi o założenie „Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych”. Wreszcie namiestnik Górczakow zezwolił pod warunkiem, że na prezesa zostanie wybrany kurator okręgu szkolnego i że statut podpisze 100 założycieli.

13 grudnia 1860 r. dokonano aktu założenia Towarzystwa i wyboru władz z urzędu, kuratora Pawła Muchanowa i z woli zebranych Edwarda bar. Rostanieckiego, autora „Słownika malarzy polskich”.

Z grona artystów znaleźli się w komitecie: Hadziewicz, Hegel, Juljusz Kossak, Schouppé, Suchodolski, Simler, Solnicki, Koniewski, a również Józef Ignacy Kraszewski. Lokal wystawy został ustalony w hotelu Gerlacha (skrzydło obecnego hotelu „Europa”).

Pod praktycznym celem działalności Towarzystwa krył się cel idealniejszy, wznioślejszy:

Budzenie w najszerzych masach świadomości patriotycznej, kultu dla ojczystych dziejów, poczucia jedności przynajmniej wśród artystów ponad kordonami zaborów, a wreszcie przypominanie światu przez sztukę imienia Polski.

Było to zadanie, które dziś spełniają ministerstwa kultury i spraw zagranicznych. Tak wielką rolę podjęło jednak Towarzystwo, słusznie przypuszczając, że narodowi, skutemu kajdanami niewoli, pozostała jedynie sztuka, jako niedający się niczem skrepić krzyk o wolność!

Pierwszym przejawem tej misji służenia sztuce i narodowi był konkurs „Z dziejów krajowych”. Uwieńczono na nim Gersona za obraz „Jadwiga na zamku”, Adryana Grębockiego „Śmierć św. Wojciecha” i in.

Rozwój Towarzystwa był coraz wspanialszy. W r. 1864, po przetrwaniu klęski powstania, liczyło już 957 członków. W r. 1867, licząc się z potrzebami rozwijającej się instytucji, rząd ofiarował galerję z 11 arkadami w dawnym klasztorze pobernardyńskim.

Gmach ten szybko postanowiono przystosować do nowego celu. Marcei Berent nakreślił plan przebudowy, a bankier Bloch zdecydował się rzecz sfinansować.

Następnie ogłoszono konkurs na fryz zewnętrzny, zawierający postaci i daty najważniejsze z historii polskiej plastyki, wewnątrz zaś malowidła miały zobrazować epoki rozwoju sztuki polskiej.

Pięknie przyozdobiony lokal stał się wkrótce centralnym punktem zarówno dla elity, jak i dla szerszych warstw, które za cenę 5 kopiejek miały łatwy dostęp do dzieł sztuki. I nie tylko. Pod pokrywką zainteresowań artystycznych uprawiano propagandę patriotyczną. Przyczyniały się też do niej coroczne premje, składające się przeważnie z reprodukcji obrazów historycznych czy etnograficznych.

To była jedna strona działalności Zachęty.

Druga, to tworzenie „Muzeum Sztuki Polskiej”, mającego wynagrodzić straty poczynione przez wywóz dzieł sztuki z Zamku i Łazienek.

Ta wszechstronna i narodowa wartościowa działalność Zachęty początkowo nie spotykała sprzeciwów ze strony rządu. Muchanow co roku podpisywał protokoły, początkowo po polsku, a od r. 1872 po rosyjsku, inni robili to samo. Aż dopiero Apuchtin zaczął kręcić nosem.

Awantura wybuchła w r. 1893. Ówczesny prezes Zachęty Wrotnowski wyjednał u księcia Włodzimierza zezwolenie na wystawę artystów z trzech zaborów.

Rada Akademii Sztuk Pięknych pod natchnieniem Apuchtina sprzeciwiła się, a wielki książę doszedł do wniosku, że został „naduty”. Winowajca Wrotnowski musiał się podać do dymisji, a kurator otrzymał prawo zatwierdzania członków komitetu „Zachęty”. Dopiero śmierć Apuchtina położyła kres tym blisko dziesięcioletnim szyskanom.

Przyznać zresztą trzeba, że Zachęta zawsze nieugięcie walczyła o prestige imienia polskiej sztuki. Gdy w r. 1862 zaproponowano jej udział w wszechświatowej wystawie w Londynie, wyraziła zgodę, ale pod warunkiem, że polscy artyści wystąpią oddzielnie.

Ten oddzielny występ zagraniczny doszedł dopiero do skutku w r. 1867 w Paryżu z zupełnym zresztą sukcesem polskiej sztuki.

Dalsze sukcesy przyszły w Monachjum w r. 1869, a w r. 1889 był to zupełny triumf. Udział zaś w salonie paryskim rzucił na usta Paryżan wyrazy zachwyty dla polskiej sztuki, która zdobyła też dwa najwyższe odznaczenia. Dostali je Szymanowski za „Kłótnię Huculów” i Chełmoński za „Powrót z kościoła”.

Życie „Zachęty” wypełniały nietylko prace kulturalne, walki z rządem, ale i spory i „orientacje” artystyczne. Młode pokolenie artystów przystąpiło do ataku na starą gwardję, aby zdobyć sobie miejsce „pod słońcem”.

Rok 1890 był szczególnie wypełniony napiętą walką poglądów i tendencyj. Lecz w wirze sporów nie



Axentowicz Teodor

Harczer

Apoteoza
fragment z tryptyku

Kossak Wojciech



Dowodem tej pierwszej, tradycja już uświęconej tendencji, jest szereg wystaw retrospektywnych: sztuki kościelnej, batalistycznej, „koń w sztuce”, Chelmońskiego, Wyspiańskiego, Drabika, Mehoffera, sztuki perskiej itd.

Próba popularyzowania sztuki w szerszych masach są konkursy na „portret pana” i „portret pani”.

Przejawem współpracy z nowymi kierunkami są: wystawy formistów, kubistów, wystawy grup „Rogate serce”, „Pryzmat” i przedstawicieli całego młodego pokolenia malarzkiego w Polsce.

W ten sposób na fundamencie dawnych prac i zasług „Zachęta” staje się w służbie sztuki arką przymierza między dawnymi i nowymi laty.

Żukowski St. Puszcza Świsłocha Odwilż.

zapomniano o kwestjach praktycznych, o stworzeniu nowej siedziby dla rosnącego zastępu przedstawicieli polskiej plastyki.

Rok 1900 przyniósł otwarcie własnego Pałacu sztuki, wzniesionego wedłu projektów arch. Szyllera.

I w tym gmachu rozwija się i kwitnie już stale działalność „Zachęty”.

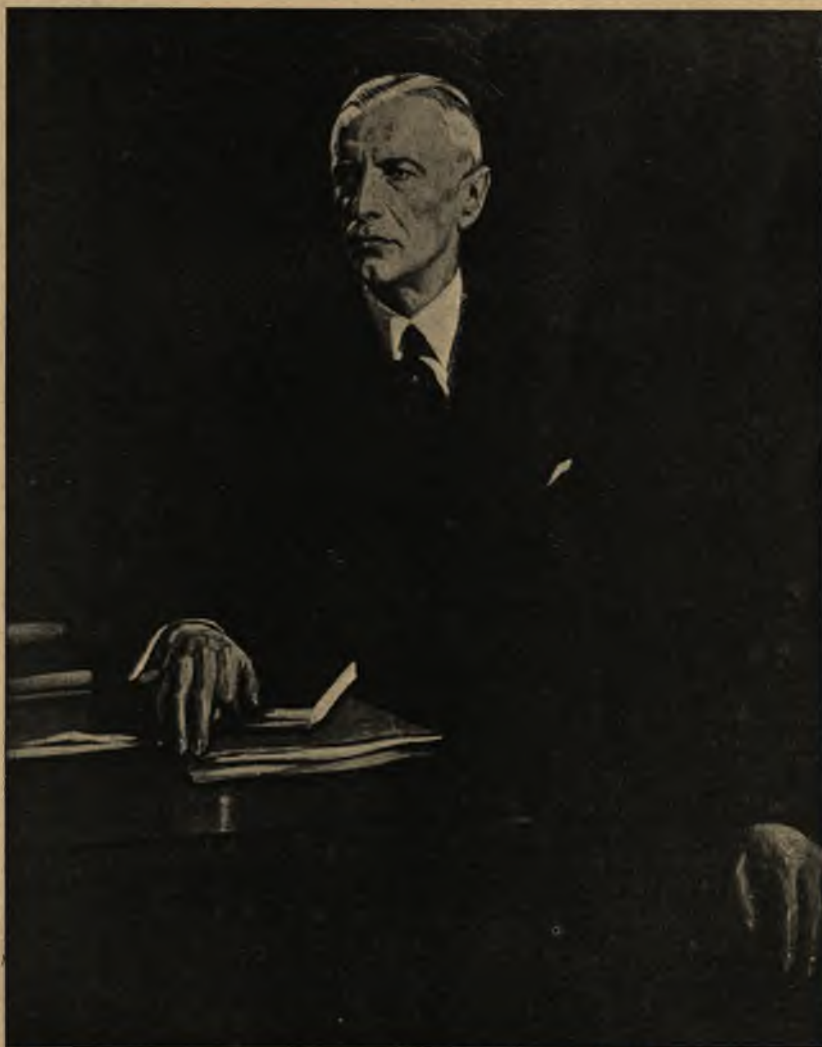
Wojna oczywiście rzuciła poważny cień na tę działalność. Fundusze przepadły w Rosji, sztuka i jej przedstawiciele przymierali z głodu, ale malowali, choć kiepskimi farbami.

W tornistrach i bagażach żołnierskich przewożono z Krakowa czy Lwowa obrazy na wystawy. Lecz wystaw tych było mało. Udała się jakotako w r. 1916 wystawa „Dziecko w sztuce” i konkurs „Polska”, który odwiedzali nawet Niemcy i kupowali.

Dalszym krokiem naprzód była „Wystawa Legjonowa” w kwietniu 1917 r., znów z udziałem takich znakomitości, jak Axentowicz, Hoffmann, Kossak, Sichulski, Weiss. Nadeszli też swe prace sami legjoniści, a późniejsi mężowie stanu i generałowie: jen. Czesław Jarnuszkiewicz, ś. p. Kazimierz Młodzianowski, jen., wojewoda i minister, jen. Edward Rydz-Śmigły, jen. Maleszewski i inni.

Powoli „Zachęta” zaczyna przychodzić wraz z odradzającą się Polską do normalnych funkcji centralnego ośrodka sztuki w kraju.

Szczególnie ostatnie dziesięć lat pod prezesurą Stanisława Brzezińskiego stanowi jeden ciąg pięknych poczynań zarówno na polu przypominania dawnych epok i mimistrów, jak i manifestowania nowych kierunków.



Norblin Stefan

Portret min. Wł. Raczkiewicz

Z KSIĘGI PIELGRZYMA

PAN Z WAMI.

W życiu jednego z wielkich świętych nowszych czasów spotykamy nader miły obrazek...

Młot na heretyków, przyszedł Doktor Kościoła, św. Piotr Kanizjusz kończył nowe swoje dzieło. W tym właśnie roku Pańskim — 1577 — miało się ukazać wspaniałe folio jego pióra „o Pannie nad pannami, Przenajśw. Bogarodzicy Maryji”.

Pewnego tedy dnia, pogrążony w zadumie, siedział w pokoju i czekał na brata-pisarza, któremu swe pisma dyktował. Aby się lepiej skupić i nie rozpraszać myśli, zamknął oczy, twarz ukrył w dłoniach i tak, odsuwający od siebie ziemię, duchem szybował w anielskich sferach zaświata.

Wtem do jego celi wchodzi niezapowiedziany gość — Wilhelm, ksiązę Bawarii. Widząc, że święty nawet się nie poruszył, żeby zobaczyć, kto przybył do niego, siada cicho, nie chcąc przeszkadzać, i czeka w milczeniu.

Piotr Kanizjusz, usłyszawszy kroki, był przekonany, że to właśnie przyszedł brat-pisarz, po załatwieniu wcześniej niż zwykle spraw w mieście.

— Dobrze, carissime, żeś się pośpieszył — odezwał się do niego, nie odejmując rąk od twarzy. — Mamy ważny rozdział. Siadaj teraz i pisz!

Książę, nie dając się poznać, wstał z uśmiechem i bez słowa sprzeciwu zajął miejsce brata. Po chwili w ciszy pokoju rozlegał się tylko głos świętego przezywany rytmem dyktanda, skrzypiało pióro gęsie po szorstkim, ówczesnym papierze i słychać było szmer piasku przesypanego w klepsydrze.

Tak upłynęła może godzina. Święty dyktował, książę pisał.

Nareszcie drzwi celi otworzyły się powtórnie i tym razem wszedł oczekiwany brat sekretarz. Wszedł i staje zdumiony na widok księcia Bawarii, piszącego pod dyktando... W pierwszej chwili nie wie, co o tem wszystkim sądzić. W życiu O. Kanizjusza widział różne dziwy, ale to, co dziś...

— Proszę Ojca — rzecze wreszcie nieśmiało. — Proszę popatrzeć, kto książkę pisze!...

Wówczas dopiero święty odjął ręce od twarzy i spojrział.

— Książę! — wyszeptał zawstydzony, zrywając się z krzesła. — Jakżeż można!... Bardzo pokornie WXMość przepraszam...

— Ależ, Ojczu! Nic nie szkodzi — odparł wesoło książę. — Była to dla mnie prawdziwa przyjemność. Gotówem zawsze być skryptorem tak świętych dzieł...

Miły ten obrazek daje się łatwo przenieść i na inne tło. Na kanwę i w codzienne ramy życia naszego.

My wszyscy idziemy przez życie jakby z zamkniętymi oczyma. My wszyscy dyktujemy dzień za dniem, rozdział za rozdziałem, księgę życia naszego i wszyscy mamy na swe usługi Wielkiego Pisarza. Nie jest nim wprawdzie książę tego czy innego państwa, ale jest nim — Bóg Sam!

My dyktujemy, Bóg pisze!

Nie widzimy Go wprawdzie, lecz On zawsze jest przy nas. Wiara Go nam ukazuje: „Pan z wami”, co-

dzień, potylekroć, od tyłu ołtarzy. Wiara staje obok nas, jak ów brat zakonnik obok św. Piotra Kanizjusza i każe nam oczy otworzyć. I w świetle wiary możemy śmiało powiedzieć, że Boga naprawdę widzimy, niemal na własne oczy. Prawda, że oczy moje fizyczne nie widziały Boga, ale widziały Boga oczy Jezusa Chrystusa. A Jego oczy, tak jak i oczy moje, z ziemi są uczynione, należą do tej samej rodziny ludzkiej. Skoro więc On, brat mój według ciała, widział Boga naprawdę wczora, to Jego poniekąd oczyma i ja — dziś — widzę Boga.

„Bóg jest tuż”... śpiewa znana pieśń wieczorna harcerstwa. „Niedaleko jest od każdego z nas, w Nim bowiem żyjemy, ruszamy się i jesteśmy” — naucza św. Paweł. Nasze istnienie, nasze działanie, zależy całkowicie od współdziałania Bożego z nami.

Bóg jest naszym pisarzem. Czujnie zważa na każdą myśl, jaka zabłyśnie w świadomości naszej, pilnie słucha każdego słowa, jakie wypowiadamy, z troską najserdeczniejszą, ojcowską, śledzi wszystkie nasze dzienne sprawy i spoczynek w ciszy nocnej. Każde westchnienie nasze modlitewne: „Boże mój!”, każdy ból, każda radość i zachwyty duszy znajdują wierny oddźwięk pod Jego piórem...

My dyktujemy, Bóg pisze!

Głoska za głoską, karta za kartą z biegiem lat przybywa w tej księdze życia naszego, którą pisze na wysokościach Pan wszechstworzenia. Wszystko tam wyczytać będzie można. Nasze cnoty i grzechy, nasze upadki i wzloty, nasze nadzieje, zamiary, tęsknoty, pragnienia... Wypełzną sycząc węże pożądań, niezgodnych z wolą Stwórcy, i zaszumia skrzydła anielskich uniesień. I ziemia i niebo przemówi pod piórem Wszchemogącego, bo zwykle ziemię i niebo wplątamy w dyktando swoje. Największy grzesznik, najzatwardziały złoczyńca i zbrodniarz ma zakłętę gdzieś na dnie duszy niebieskie struny, które drżą, gdy pęka skała Golgoty: „Panie, wspomnij na mnie, gdy przyjdiesz do królestwa swego!”

Zapiski bibliograficzne rokrocznie notują w każdym kraju kilka tysięcy książek nowych, napisanych przez ludzi — dla ludzi. W ostatnich zwłaszcza stuleciach wysilają się autorzy. Każdy radby napisać książkę swoją tak, aby przynajmniej zainteresowała czytelników, ale niektórzy dążą do tego, aby wprost porwać ich i zachwyć. Ci niejako studują serca i umysły czytających rzesz, analizując każdą strunę ich jestestwa, aby móc uderzyć w najczulszą, która da znakomity oddźwięk na słowo pisarza.

Księgę życia naszego dyktujemy Bogu i ona będzie Jemu oddana na wieki. Pomyślmy — czy to, co Mu dyktujemy codziennie, zainteresuje żywo Serce Jego, czy może Go porwać i zachwyć? — Moglibyśmy to poniekąd uczynić, gdybyśmy zechcieli pilnie studjować upodobania Serca Bożego, gdybyśmy pamiętali powtarzane wciąż słowa Kościoła:

— Pan z wami!

Jan Czar.

ALEKSANDER JUNOSZA-OLSZAKOWSKI

LOURDES, MIASTO CUDÓW

Lourdes, miasto cudów! Zaiste cudownem jest jego powstanie i historia! Z małej i nędznej wioski góralskiej w Pirenejach wyrasta w ciągu kilku lat pięknie rozbudowane miasto z majestatyczną i wspaniałą bazyliką, ustawioną na miejscu objawień św. Bernadetty Soubirous. A przecież jakże mało była stworzona na bohaterkę zdarzeń nadprzyrodzonych ta cicha i mała święta, która w okresie objawień miała zaledwie czternaście lat! Jako córka górala nie wierzącego w przywiedzenia, surowego i twardego, nie znalazła w domu podtrzymania i wiary w swe objawienia, lecz naodwrot spotkała się z oporem i potępieniem. Wszyscy niemal powstali przeciwko niej! Dorośli odnieśli się z niedowierzaniem, władze samorządowe i państwowe, czuwając nad spokojem publicznym, zakazały modlitw przed Grotą i, zagroździwszy dostęp do niej deskami, ustawiły na na straży żandarmów. Ostrożny i powściągliwy proboszcz z Lourdes oraz podlegli mu wikariusze nie ukazywali się w Grocie, aby uchronić duchowień-



stwo od posądzeń, że wpływa na Bernadettę i swoją powagą oraz dostojnością przysłania sprawę, która wymagała jeszcze wielu objaśnień.

A jednak mimo sprzeciwieństw, mimo przeszkód

i zatargów z władzami, mała, czternastoletnia dziewczynka, nie dała się ugiąć ani zastraszyć. Wiodła ją bowiem Ta, której usta wypowiedziały słowa pełne boskości i tajemnicy:

— Ja jestem Niepokalane Poczęcie!

Dziś ponad Grotą wznoszą się trzy kościoły olśniewającej piękności. Dolny, urządzony z bizantyjskim przepychem, posiada marmury, mozaiki i brzozy. W górnym króluje gotyk, opromieniony urokiem zaświatów. Na ścianach zawieszono wota w ozdobnych, szczerozłotych ramkach. W ciągu dziesiątków lat składali je w ofierze ci, których łaska Przenajświętszej Panny powróciła do życia. Dolna zaś krypta zawiera kilkadziesiąt konfesjonałów. Tam czcigodni kapłani zdejmują ciężar grzechów, wiodąc dusze ku zbawieniu.

W okresie pielgrzymki idą procesje za procesjami. Łopocą na wietrze chorągwie, rozlega się pieśń, płoną tysiące świec. Kardynalskie purpury, śnieżno-białe komże i nieposzlakowana czerń dygnitarzy oraz wielobarwny i wielotysięczny tłum składają hołd w cudownej grocie.

A przed bazyliką, na placu, ustawione długim szeregiem wózki z chorymi, czekają kornie błogosławieństwa. Oto zbliża się baldachim z Przenajświętszym Sakramentem. Tłum zamiera. Wykrzywione spazmem usta wzywają miłosierdzia. Zżarci przez raka, zgangrenowani, suchotnicy wydający ostatnie tchnienie, paralitycy, których dusze od dziesiątków lat tkwiły w sztywnych ciałach, niby trumnach, łączą się w jednym przemożnym błaganu o litość. Opuszczeni przez wszystkich, odarci ze złudzeń i nadziei, skazani na śmierć przez ludzką medycynę, owe strzępy ciała cuchnącego zamierającą w nich iskierką życia wołają Tej, która jest Niepokalane Poczęcie.

A łaska Jej niewidzialna niby dobrotliwy uśmiech Zbawiciela pada promieniem na tysiączne rzesze chorych i uzdrawia w ciągu trwania błyskawicy. Tu i ów-



dzie rozlega się krzyk upojenia, któremu odpowiada jęk tłumów. Tu i ówdzie chory odrzuca szczudła lub zrywa bandaż krwią nasiąkłe i ropą. Gina rany i wrzody, zrastają złamane kości, prostują się zgięte potwornie kręgosłupy. Powraca życie, radość i szczęście!

I przychodzą wówczas na myśl słowa wiekopomne: głusi słyszą, ślepi widzą, a ubogim opowiadana jest Ewangelja!



Na drodze do bazyliki stoi posąg św. Bernadetty. Nędzna chuścina okrywa jej główkę, małe nożyny tkwią w wykoszlawionych bucikach. A jednak przed tym posągiem najpotężniejsi władcy świata uginają kolana, składają hołd tej, której objawiła się Matka Boga Żywego!

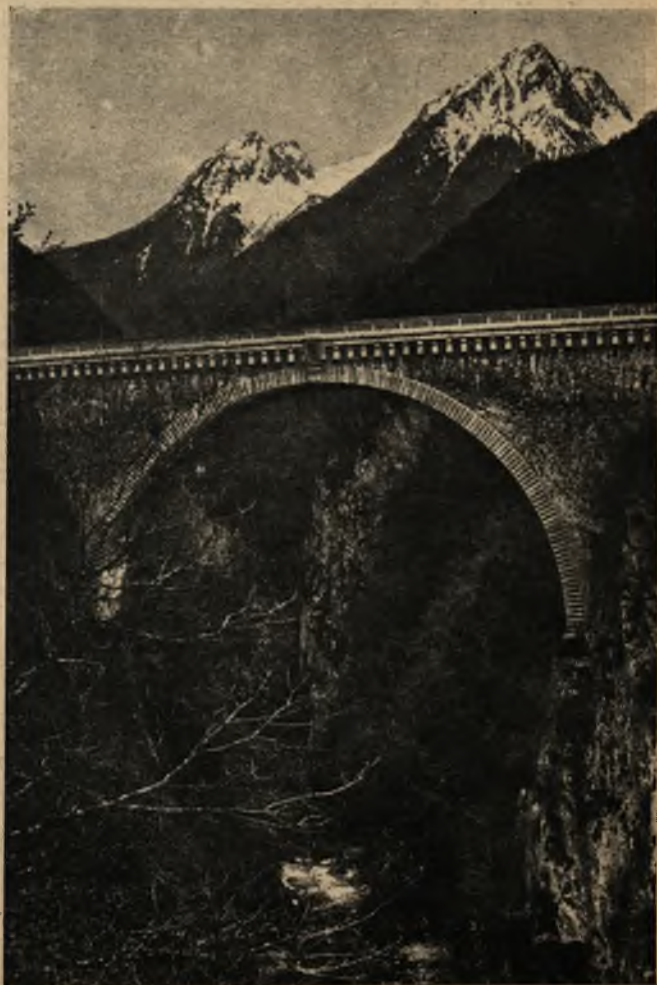
Była za życia słupem ognia, zapalającym serca wiary i nadzieją — i taką pozostanie wiecznie!



Pierwszej łaski ze strony Matki Boskiej dostąpił prosty robotnik nazwiskiem Burriett, z zawodu kamieniarz. Człowiek ów. padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku przy rozsadzaniu dynamitem skał w Pirenejach niedaleko Lourdes. Ostry odłamek kamienia, wyrzuconego z wielką siłą, przeorał mu twarz i zranił prawe oko, przyczem wstrząs mózgu był tak silny, że ledwo go zdołano uratować od śmierci. Pozostał jednak kaleką na całe życie, w ciągu bowiem dwudziestu lat cierpiał straszliwie na bóle głowy i zaniewidział.

Kiedy w grocie wytrysło cudowne źródło, nieszczęśliwy robotnik posłał jedno ze swych dzieci po wodę i — modląc się — jał przemywać sobie chore oko. I — przejrzał!

Wezwany lekarz, który miał go w opiece od szeregu lat, nie chciał dać temu wiary i dla próby napisał coś na kartce, żądając, aby Burriett, zasłoniwszy ręką zdrowe oko, przeczytał. Ten bez trudu spełnił życzenie





lekarza, czytając na głos wobec świadków następujące słowa:

— Burriett ma porażenie organiczne oka i nie przejrzy nigdy!

Od tego czasu upłynęło długich siedem dziesiątków lat i tysiące beznadziejnie chorych zawdzięcza cudownej Grocie powrót do zdrowia. Każdy cud skrupulatnie zapisany jest przez biuro stwierdzeń lekarskich.

Posłuchajmy, co przynoszą nam ostatnie najnowsze uzdrowienia:

1. Kleryk M. Albert Dessailly miał nieszczęśliwe dzieciństwo. Wąty, słaby i chorowity. Po dojściu do lat młodzieńczych zapadł ciężko na tuberkulozę gardła. Pokarm przełykał z trudem i bólem. Badany przez laryngologów oraz poddany radiografji, dowiedział się, że tuberkuloza ogarnęła nie tylko przewód pokarmowy lecz i płuca. Stan był groźny. Nieszczęśliwy kleryk stracił głos i mówił szeptem. Czasami wstawał z łóżka i zgarbiony, o lasce, przy pomocy innych, przechadzał się po pokoju. Wreszcie lekarze zażądali operacji. Zrobiono odemę prawego płuca. Niestety, skutku nie było.

Choroba rujnowała coraz bardziej wycieńczony organizm. Przy wzroście 1.70 m ważył tylko 50 klg! Mając lat 30, wyglądem przypominał starca sześćdziesięcioletniego. Przeszedł opuszczając łóżko i leżał całymi miesiącami bezwładny, ledwie dyszący z ciężkimi kroplami potu na śmiertelnie bladym czole. Lekarze opuścili bezradnie ręce. Był skazany na śmierć!

W roku 1928-mym, dnia 16 września zawieziono chorego do Lourdes. Natychmiast po przyjeździe był wykąpany, pomimo iż woda w grocie miała zaledwie 11 stopni ciepła. Wyjęty z wanny, odzyskał raptem głos i siły. Poprosił o ubranie i ubrał się bez niczyjej pomocy. Lekarze w biurze stwierdzeń byli oszołomieni. Po 48 godzinach waga ciała z 50 wzrosła na 54 klg. Po dwóch tygodniach ważył 69 kg i był okazem kwitnącego zdrowia i siły. Żyje do dnia dzisiejszego.

2. Urzędnik Teofil Thiem, zamieszkały w Liege,

cierpiał na owrzodzenie dwunastnicy. Choroba ta zazwyczaj kończy się śmiercią. Medycyna może co najwyżej przedłużyć cierpienia chorego na pewien czas.

Thiem odczuwał dotkliwie bóle w piersiach, przełyku i plecach. Pozatem cierpiał na duszność. Trawienie miało złe, a przytem marł z głodem spowodu niemożności odżywiania się. Stosowano zastrzyki i specjalną dietę. Rezultatu dobrego nie było. Chory zwracał wszystko. Lekarze przystąpili do operacji i otworzyli żołądek. Od tej pory chorego odżywiano przy pomocy sondy. Była to męczarnia, a raczej agonja. Po dwóch tygodniach nadludzkiej cierpienia rodzina Thie-ma wywozi go do Lourdes. Było to 20 marca 1929 roku. *W tym czasie nie było żadnych pielgrzymek. Thie-ma wykąpano trzy razy. Za trzecim razem lekarze nie mogli założyć choremu sondy, ponieważ otwór w boku znikł bez śladu.* Od dnia tego Thiem zaczął jeść normalnie. Badania w biurze stwierdzeń wykazały, że organizm jego jest zupełnie zdrowy. Żadnego owrzodzenia dwunastnicy niema.

3. Marja Trolong w 17 roku życia zapadła na całą serję chorób i najpiękniejsze swe lata spędziła w szpitalu. Miała szkarlatynę, potem zapalenie średniego ucha, co spowodowało operację trepanacji czaszki. Po małej przerwie dostaje wrzodów kostnych prawej nogi. W ciągu 11 miesięcy trzy razy leżała na stole operacyjnym. Pod koniec roku zapada na ogólną tuberkulozę kości i przez 32 miesięcy znajduje się unieruchomiona w specjalnym aparacie w sanatorjum. W międzyczasie dostaje plewrytu, który przechodzi szczęśliwie, nato-



miast lekarze stwierdzają ze zgrozą perytonit brzucha. Jest to groźna choroba nieuleczalna. Kończy się zawsze śmiercią.

Z sanatorjum przewożą chorą do szpitala w Lille i tam operują na ślepą kiszkę, której ostre i bolesne objawy wystąpiły niespodziewanie. W miesiąc później musiała nastąpić nowa operacja, polegająca na wycięciu wrzodu tuberkulicznego z lewej strony brzucha. Jednak ratunek był już spóźniony. Tuberkuloza ogarnęła bowiem stos pacierzowy. Chora jęła majaczyć spowodu wysokiej gorączki. Cierpiała ustawicznie na wymioty. Brzuch wzdęty. W urynie znajdowała się ropa. Nerki zostały zaatakowane przez wrzody.

Nad nieszczęśliwą krążyła śmierć.

Dnia 24 czerwca 1931 roku Trolong przywieziono do Lourdes. *Wystarczyła jedna kąpiel i wszystkie choroby znikły bez śladu!*

Możnaby w ten sposób prowadzić długą listę uzdrowieńców, którzy doznali łaski Przenajświętszej Panny. Możnaby tomy całe spisywać, świadków tysiące gromadzić i lekarzy opinji zasięgać, którzy bezsilni i bezradni nie mogli uporać się z chorobami. *I chociaż każda z tych historii ocieka krwią i łzami, cuchnie ropą i potem śmiertelnym, a przeto wzbudza wstręt i przerażenie, dla piszącego te słowa jest najpiękniejszym poematem serca.*

Bo króluje w niej Niezłębione Miłosierdzie!

(Dalszy ciąg na ostatniej stronie okładki).

Piękna iluminacja
karnawałowa w Nicei



LUDOMIR RUBACH

KARNAWAŁ NA MORAWACH

Już od Nowego Roku śmiechem i weselem rozbrzmiewają białe, schludne wsie na Morawach. Lud dziarski, zdrowy, wychowany w pracy, która daje dobrobyt, radośnie spędza czas dany ku rozradowaniu serc i umysłów — karnawał. W sylwestrową noc śmiechem poczęty wiejski karnawał rozdzwania echem donośnym muzyki i śpiewu obojętnej w dolinach wartkich rzek, których lód skuć nie potrafi w swe szklane okowy. Rozpoczyna się to wesele od tego, że się o północy w Sylwester skrzykują wszyscy chłopcy wiejscy na skraju rodzinnej wsi i rozpoczynają pukać, stukać do tych domów, gdzie są dziewczęta na wydaniu. Potem ze śpiewem wpadają do izby:

„Śpiewa kogut w kurniku, dajcie ciotko po pierniku”. — Śniegiem twarz gospodyni nacierają, żeby rok cały miała wygląd świeży i zdrowy, lustro przed nią stawiają, żeby się swej noworocznej krasie przyjrzała. Najwięcej jednak śmiechu i radości wywołuje obmywanie dziewcząt śniegiem lub wodą, przed czem napróżno się one chowają pod stosami wyszywanych poduszek i pierzyn. Za to pracowite przywracanie zdrowej cery wiejskim krasawicom, dostają parobcy od gościnnych gospodyń po makowca porcji solidnej i po kieliszku śliwowicy lub szklance „burczaka” — młodego wina. To też w domach następnych jest coraz huczniej i weselej. Jeśliby któraś z chat pominięta została w tem „obmywaniu” — smutekby w niej panował: takie zapomnienie zły los sprowadza na rok cały.

Lecz oto rozwidnił się dzień Roku Nowego. Rozlegają się życzenia po całej wsi. Życzy gospodarz gospodarzowi. Gospodyni życzy sąsiadkom swoim, parobcy dziewczętom i odwrotnie:

„Winszuję ci szczęścia i wesołego Nowego Roku, aby cię nie bolała głowa ani w boku” —

oryginalne życzenie... Sądzić należy, iż serdeczne. Na dzień Trzech Króli życzenia po wsiach roznoszą chłopcy przebrani za wschodnich trzech władców i śpiewają:

„My trzej królowie idziemy do was —
szczęścia, zdrowia winszujemy wam”.

Od tego święta przez cały karnawał trwają zabawy, tańcówki i rozgłośne weseliska, bo Morawianie lubią się bawić, cenią wartość śmiechu, a że oszczędnością i pracą ludzie się bogacą, więc jest z czego się bawić i gardła płucać. Śliwowica i wino dostałe, dojrzałe umiła czas zabawy. Pierwszą z takich zabaw, a raczej gier o legendarnej treści jest „chodzenie ze świętą Dorotą”. Zwyczaj ten utrzymał się w najpiękniejszej części Moraw — Luchaczowskim Zalesiem nazywanej. Polega na tem, że Trzej Królowie chodzą z drewnianą, własnej roboty szkatułką, do której szcudrzy gospodarze sypią pieniądze, lub też obdarowują onych „wschodnich” monarchów mąką, słoniną, suszonymi owocami, jako prezentami ludu morawskiego dla małego Jezuska... Żeby miał się czem posilić i mógł rość zdrowo...

Tylko, że darami temi owi „monarchowie” — parobcy z Kanowic, Wilcznowa, hanaccy chłopcy zajadają się smakowicie.

Żeby się bawić można było bez bólu głowy, w karaku, łamania w kościach, kładzie się dwie skrzyżowane świece podczas nabożeństwa pod brodę obecnym w kościele. Podobno skutek fenomenalny! Nie próbowałem, niestety, więc gwarantować nie mogę. Najweselej jednak spędzane są ostatki. Przedewszystkiem śpieszą na ślubny kobierzec ci, którzy się długo namyślali: „ożenić się czy drugiego roku poczekać” — następnie stary obyczaj każe najeść się tak, aby się żołądkowi odechciało przez przeciąg siedmiotygodniowego postu tłustego jada i rozmaitych frykasów.

Zapach nęący pieczonych gęsi i innych potraw — „bożych miłości” — jak mówią morawskie gospodynie — napełnia w te dni ulice wsi morawskich aromatyczną wonią. Muzyka gra w kilku gospodach od niedzielnego południa aż do północy z wtorku na środę — nieustannie, a kończy się owo trzydniowe granie śpiewaniem kupletów i żalosnym obrzędem pochowania basów, fletni i odśpiewaniem „requiem”. Śpiewają kuplety i wierszowane dowcipy młodzi ludzie, siedzący na gospodarskim piecu. Śpiewają o dziewczynie, która „na koniec ostatków miała kawalera, lecz gdy się chciała z nim ożenić, uciekł jej nieborak”.

W niektórych miejscowościach, jak naprzykład na Wielkoorzechowsku do dnia dzisiejszego utrzymał się zwyczaj prowadzenia „niedźwiedzia”. — Polega on na tem, że jeden z chłopców, przybrany grochowinami i rozmaitem włosiem, bęlniący lub kołaczący w grzechotkę, prowadził na pasku „niedźwiedzia”, którym był inny młodzieniec, ubrany w kozuch, odwrócony włosiem na zewnątrz. Niedźwiedź śpiewa ludzkim głosem, wyprawia figle, ku uciechu całej wioskowej społeczności. Miejscowi dowcipnicy mają pole do wykazania swego talentu humorystycznego. Jeżeli w okresie ostatków niema żadnego wesela, co jest rzadkim wypadkiem, chodzi się wymiatać kominy. Wymiatają kominy nie młodzi chłopcy, ani go podynie, czy zawodowi kominiarze, lecz starsi z gminy, panowie gospodarze-radni. Przebrani za kominiarzy, idą od domu do domu (biedaków omijają) (!?) i żartobliwie oglądają czy czasami gospodynie nie mają zaniedbanych pieców i kominów. Poczem dostają za swą niemęczącą funkcję na rożen po kęsie słoniny, all o jajek, z czego po obejściu wsi przyprawiona jest jajecznicza dla całej gminy. Przy spożywaniu takiej „ogólnospołecznej” jajecznicy również śmiech i powiedzonka, przeplatane przyśpiewkami, czas i jadło umilają. Przy zbieraniu słoniny i jajek na ową gromadzką jajecznicę śpiewa się rozmaicie. Naprzykład: „Pani mammo krasna — daj łyżeczkę masła, kęś dobrej słoniny — dla uciechy gminy”

lub:

„Tam nam nie dali — Ale tu dają
Komara zabiją — słoninę mają...”

A jak nam nie dacie — To się zadziwicie,
Wszystkie garnki potłuczemy — które w szafie macie”.

Groźba taka skutkuje momentalnie. Wyciąga gospodyni słoninę, kraje, daje, nie żałuje!

Jeszcze gdzieniegdzie zachował się zwyczaj „babkowania”. Ze związanym baranem albo kogutem chodzą chłopcy po całej wsi i proszą o rozmaite do niego dodatki. Gdy całą wieś obejdą, następuje obrzęd — „ścinania barana”, którego potem piecze się. Obrzęd ten trwa długo i jest zazwyczaj połączony z sądem nad biednym zwierzęciem, obwinianiem go, obroną, odczytaniem testamentu — przewód sądowy trwa kilka godzin ku uciechu zebranej wsi. Wyrok zawsze jeden i ten sam: ścięcie, upieczenie i... zjedzenie winowajcy.

W ołomunieckim muzeum obejrzyć można przyrządy, któremi ścinano skazanego barana. A o tem, kto miał ściąć barana, decydowało losowanie między młodzieżą męską wsi.

Ścinający śpiewał:

„Poczekaj, baranie, co ci się stanie,
że twoja główka za chwilę spadnie”.

Z tych, którzy odbywali to „babkowanie”, jeden był przebrany za żołnierza, inny znów za kominiarza, jeszcze inny był żydem, czwarty dziewczyną z dzieckiem, a tyle dowcipkowali, że się wszyscy ludzie mogli uśmieć dowoli.

Były i są zwyczaje nieco złośliwe. Oto kilku dowcipnisiów, wszystko wiedzących, przebiera się w ostatki w grochowinę i futra odwrócone sierścią do wierzchu, w słomiane powróśla, a potem wchodzą na drzewa i rozpoczynają „kazanie”, które jest wyłuszczeniem grzechów bliźnich: — wsi, obywateli i obywaterek. Śmiechu co niemiara, czasami ła za zabłyśnie w czyjemś oku, czyjaś twarz obleje się rumieńcem, ale dowcipnisię są nielitościwi. Tańcem na konopiach kończą się zabawy mięso-pustne. Kończy się wiejski karnawał na Morawach.

Karnawałowy pochód na Morawach



ALEKSANDER JUNOSZA-OLSZAKOWSKI

5)

DWAJ BRACIA

— To rzecz gustu, a raczej osobistego poglądu na te sprawy. Nie będę jednak sprzeczał się z tobą. Powiedz mi lepiej, Antosiu, jak ty żyjesz, co robisz i czy ci nie żal Warszawy? W listach twoich do mnie prawie nic nie piszesz o sobie.

— Życie moje szare jest i jałowe — odparł ze smutnym uśmiechem Antoni — niewiele można o niem mówić. W dzień nauczam w szkole, wieczorami siedzę w domu.

Lucjan wyciągnął rękę przez stół i uściskał dłoń brata.

— Żal mi ciebie! Musisz się piekielnie nudzić!

— O, nie! Jest mi dobrze, cenię nadewszystko spokój. Mam tu oddanych sobie i życzliwych ludzi. Podstawą zaś szczęścia każdego człowieka jest zadowolenie własne. Ja odczuwam je w całej rozciągłości.

— Podziwiałem w tobie zawsze skromność wymagań od życia — pokiwał głową Lucjan — i zawsze ogarniało mnie zdziwienie, że zdrowy, trzydziestoparoletni mężczyzna, jakim ty jesteś, o wyższym poziomie umysłowym i pewnych aspiracjach artystycznych, zadawalnia się pracą nauczania zasmarkanych dzieci w jakiejś dziurze prowincjonalnej. Ja na twoim miejscu urwałbym się jak pies z łańcucha. Każdy kulturalny człowiek potrzebuje przecież jakiejś rozrywki. A ty gdzie ją znajdziesz w Hejnałowie? Teatrów niema, cukierni przyzwoitej również, ulice wyglądają jak drogi wiejskie, a przedewszystkiem w całej atmosferze tego miasteczka wisi nuda, okropna nuda!

Antoni uśmiechał się łagodnie, patrząc na brata. Poczem rzekł:

— Nie jest tak źle jak sobie wyobrażasz. Skoro posiedzisz u mnie dłuższy czas, przekonasz się, że życie jest tutaj miłe, ludzie dobrzy, a teatr i cukiernia szczęścia nie dają. Uważam jednak, że czas najwyższy pójść na spoczynek. Pościelę ci tutaj na kanapie. Sądzę, że będziesz miał wygodnie. A jutro po obiedzie pogadamy obszerniej!

To mówiąc, Antoni przyniósł koc z sąsiedniego pokoju, wyjął z szafy poduszkę i dwa prześcieradła i przy pomocy Lucjana przygotował posłanie. Na dobranoc bracia ucałowali się serdecznie i po chwili w małym, ubogim mieszkanku zapanowała cisza i ciemność.

O szóstej rano Antoni obudził się jak zwykle i na palcach, by nie obudzić śpiącego smacznie Lucjana, wyszedł na miasto poczynić sprawunki. Pieniądzy nie miał, ponieważ ostatnie dwa złote ofiarował praczce. Chętnie chcąc musiał skorzystać z kredytu, czego szczerze nie lubił. W sklepiku wziął bochenek chleba, małą osetkę masła i dwa jajka. Wróciwszy do domu, zaparzył herbatę, ustawił na stole szklanki i talerze, poczem wziął się do rannego sprzątnięcia i toalety.



Aleksander Junosza-Olszakowski — czołowy pisarz polskiej literatury katolickiej, autor naszego odcinka powieściowego i świetnych feljetonów zagranicznych

Mocny sen młodości i utrudzenie podróży pozwoliły Lucjanowi przespać do pół do ósmej, pomimo pewnego hałasu. Obudziło go lekkie szarpnięcie za ramię. Otworzył niechętnie oczy.

Przed nim stał Antoni, mówiąc:

— Przepraszam cię, że ci przerywałem sen, ale zaraz wychodzę do szkoły i nie miałby kto przyrządzić ci śniadania. Służącej nie trzymam, bo była mi niepotrzebna. Zjedz teraz ze mną, a potem możesz spać choćby do obiadu.

Lucjan z wdzięcznością spojrział na brata.

— Jesteś dobrym chłopakiem — rzekł z uznaniem — muszę przyznać ze wstydem, że nie potrafiłbym zaparzyć herbaty i z tej przyczyny siedziałbym głodny. Przysuń mi łaski swojej stolik do łóżka, to nie będę wstawał. Przenikliwe zimno jest u ciebie!

Antoni zatarł ręce lekko zmieszany.

— Masz rację! Trochę za zimno. Węgla nie mam i nie kupowałem więcej, myśląc, że wiosna będzie ciepła.

W tej chwili jakiś hałas doleciał z sieni. Lucjan nasłuchiwał ciekawie, poczem zapytał, smarując chleb masłem i powidłami:

— Co tam się dzieje?

Antoni machnął ręką.

— To nic! Po drugiej stronie domu mieszka praczka i o tej godzinie rozpoczyna zwykle pranie bielizny.

Lucjan skrzywił się.

— Nie jest przyjemnie mieszkać w domu, w którym cienkie ściany przepuszczają wszelkie odgłosy.

— Ha! Cóż robić! Wedle stawu grobla. Mieszkanie skromne, ale zato tanie.

— Powiedz mi, ile ty zarabiasz właściwie?

Antoni zaczerwienił się i odparł po pewnym wahaniu:

— Niewiele! W każdym razie wystarczyć na nas obu. Nie kłepuj się moją gością, bo mi zroślisz przykrość! A kiedy będziesz wracał do Warszawy, postaram się o pieniądze. Bądź spokojny. Tymczasem zegnaj! Muszę spieszyć do szkoły. Tam w szafie leżą książki do czytania. Jak będziesz chciał pójść na przechadzkę, to idź ku południowi. Zaraz za temi domkami, które widać przez okno, ciągnie się piękny las. Widoki są prześliczne. Kolej idzie szerokim wawozem. Na pagórku wiatrak. Z tamtej strony płynie mała rzeczka, którą tutejsi nazywają „Królowna”.

— Poetycznie! Niema co mówić! — zaśmiał się Lucjan, zegnając brata.

Po chwili został sam. Dopił herbaty, gwałtownym ruchem odsunął stolik od łóżka, i usiadł, ściskając dłońmi czoło.

(D. c. n.)



NA FALACH CZASU

Z TEATRU

„Fryderyk Wielki” Adolfa Nowaczyńskiego to jeden z najwspanialszych dramatów, jakie wydało polskie piśmiennictwo dramatyczne, a sam Wielki Fryc, to jedna z najżywoźniejszych postaci naszej sceny. Portret psychologiczny twórcy podwalin potęgi Prus ma rembrandtowską plastykę i szekspirowską głębię charakterystyki.

Nowaczyński umiał nam ukazać małość w wielkości, by przez to tę wielkość wywyższyć. Dzięki tej wszechstronności ujęcia, dzięki rzetelnemu rozplanowaniu blasków i cieni, otrzymujemy postać żywą, nawskroś autentyczną, która gra i mieni tysiącem odcieni psychologicznych, wspaniale zestrojonych na kanwie mocno postawionego charakteru.

Fryderyk Wielki jest prawdziwy w każdym calu, w samym geście oficjalnym czy prywatnym, w swych wypowiedzeniach się polityka czy filozofa, łączących patos z cynizmem. Ten esprit fort jest również esprit galant. Człowiek, który wymyślił tak dwie sprzeczne rzeczy jak pruski strywny dryl wojskowy i polotny, jak bajka-pałac Sans souci, który z Wolterem zamieniał kapitalnej wartości korespondencję, dając w niej dowód subtelnej zrozumienia zagadnień nauki i kultury, który umiał przytem powiedzieć, że profesorowie prawa są po to, by usprawiedliwić każdą zbrodnię, nie może być postacią banalną.

To jest zjawisko pierwszorzędne w ludzkiej menażerji i takim też uczynił je Nowaczyński. Obok tej niezwykłej, olśniewającej wprost przenikliwości psychografji i wyrazistości konturu charakterystyki, uderza w dziele Nowaczyńskiego trafność koncepcji dramatu, wysunięcie racji stanu, jako głównego motywu i motoru działania wielkiej postaci pruskich dziejów. Nowaczyński umiał nam ukazać wszystkie perspektywy działania tej racji stanu.

W tak stworzonym dziele wynik sceniczny zależy od szczęśliwej kreacji postaci naczelnej. Można powiedzieć, że to, co dał we Fryderyku Solski, to już jest najwyższy szczyt doskonałości, to jest prawdziwe aktorskie nec plus ultra. Tak zbudować z pozornych sprzeczności monolit charakteru, tak wycieniować człowieka, jednolitego w swem działaniu mimo wań du ridicule à glorieuse umie tylko Solski. To był prawdziwy koncert gry.

„Codziennie o 5-tej” Hennequine’a i Webera, wznowione w Letnim, to istna bomba śmiechu, który też huczy i przelewa się po sali. Istotnie sytuacje, które nam pokazała spółka autorska są groteskowo zabawne. Ten starszy pan, który dowiaduje się, że jego żona adoptowała jego dawną przyjaciółkę, jest postacią nawskroś ko-

miczną, a cóż dopiero mówić skoro wcielił ją jeden z najlepszych aktorów charakterystycznych — Grabowski. Farsa ta, dość ryzykowna w pewnych swych kontrastowych sytuacjach ma tę przemawiającą na jej korzyść stronę, że od początku do końca mówi się w niej, ubocznie oczywiście ale wyraźnie, a radości małżeństwa, a przede wszystkim macierzyństwa. Cały karkołomny pomysł adoptacyjny pani dyrektorowej jest właśnie owocem jej tęsknoty

macierzyńskiej. Świetnie też ukazała ją Cellówna. Trudno tu wyliczyć wszystkie zabawne sytuacje, które z matematyczną dokładnością rozwijają autorzy, te komedje omyłek, sypiących się jak z rogu obfitości. Zabawa mimo ryzykowności, była świetna.

Świetną zabawę stwarza też „Trafika pani generałowej” w teatrze Malickiej, znów przy wszystkich pozorach lekkomyślności gloryfikująca małżeństwo i ład moralny.

Sztuka ta ma wyjątkowo komiczny akt



Fryderyk Wielki

IV-ty, oparty na świetnie pomyślonej sytuacji, stworzonej przez naiwną, a zakonaną dziewczynę, którą z wdziękiem i brawurą, z subtelnością rysunku psychologicznego kreuje Marja Malicka. Jej partnerem jest K. Benda, który włożył w swą rolę niezbędną w niej dystynkcję, a przecież nie zatarł w jej konwencjach żywego człowieka.

Historijka, która zdarzyła się w „Traffic”, jest prosta i przez to właśnie eksplodująca ogromną vis comica. Młoda panna, ze świeżo otrzymaną maturą, zakochuje się w przystojnym i młodym hrabi, którego podejrzewa o romans z jej siostrą. Pragnąc ratować szczęście rodzinne siostry, no i oczywiście zdobyć własne szczęście, gwałtem okupuje mieszkanie młodzieńca, by tu wkońcu, po kilku godzinach różnych ceregieli, dowiedzieć się, że jemu ani się śni siostra, tem bardziej, że otacza ją względami właściwie ojciec hrabiego. Wszystko oczywiście kończy się jak najlepiej. Młodzi pobierają się, a lekkomyślna siostra wraca do ogniska domowego.

Całość historyjki podana jest z takim wdziękiem, rzeczy nawet najbanalniejsze powiedziane są tak zręcznie, że widz bawi się doskonale.

„Był sobie więzien” mimo pozorów komedjowych jest sztuką naładowaną bardzo poważną treścią. Ukazano tu w niej w mistrzowskim rysunku pozorną moralną pewnych środowisk ludzkich, poziomość tak odstręczającą, że nawet były więzien, który piętnaście lat zamieszkiwał w kryminalu, ma tego dość. Autor umiał scharakteryzować w mocnym skrócie środowisko plutokracji w sposób tak trafny, że rozumiemy zupełnie rozczarowanie do świata byłego kryminalisty. J. Cz.

Z PIŚMIENICTWA

Uroczysta inauguracja Domu Wydawnictw Księży Jezuitów w Warszawie.

W dniu 11 ub. m. odbyło się poświęcenie nowowzniesionego domu wydawniczego księży Jezuitów w stolicy przy ul. Rako-

wieckiej. Uroczystość ta nabrała specjalnego znaczenia, gdyż uświetnił ją swą obecnością P. Prezydent Rzeczypospolitej, prof. Ignacy Mościcki w otoczeniu domu cywilnego i wojskowego. Pozatem zaszczylił ją swoją obecnością J. Em. Ks. Kardynał Al. Kakowski, Arcybiskup Metropolita Warszawski, który dokonał poświęcenia gmachu, J. Em. Nuncjusz Apostolski Fr. Marmaggi, II EE. Ks. Arcybiskup E. Ropp, Księża Biskupi Szlagowski i Gawlina, p. premier Zyndram-Kościałkowski, pp. wiceministrowie gen. Głuchowski, Chyliński i ks. Zongołowicz, wojewoda Jaroszewicz, wiceprezydent Olpiński, dyr. Potocki, przedstawiciele kapituły metropolitalnej, prasy stołecznej, przełożeni domów zakonnych i inni goście.

Po poświęceniu kaplicy uczestnicy uroczystości na czele z Panem Prezydentem przeszli do wielkiej sali, będącej czytelnią domowe, a po krótkim cerclu gospodarze domu, ks. prowincjał Stanisław Sopuch T. J. i ks. superior Jan Rostworowski T. J. zaprosili gości do refektarza zakonnego, gdzie odbyło się śniadanie.

Podczas przyjęcia zabrał głos ks. prowincjał Sopuch, który rozpoczął swe przemówienie od wyrażenia wdzięczności Panu Prezydentowi R. P., J. Em. Ks. Kardynałowi oraz J. Em. Ks. Nuncjuszowi, dostojnikom kościelnym i świeckim oraz zaproszonym gościom, którzy przybyli na uroczystość. Mówca zaznaczył, iż gmach, poświęcenia którego dokonał Ks. Kardynał, powstał w stolicy państwa na wyraźne życzenie Ojca św. Zgodnie z wolą jego wy dawnictwa OO. Jezuitów, dotychczas siedzibę mające w Krakowie, zostały przeniesione do Warszawy, aby z nowowzniesionego gmachu mogły promieniować na całą Polskę. Scharakteryzowawszy pokrótce oddzielne wydawnictwa, będące dziełem myśli i pracy twórczej księży Jezuitów z „Przeglądem Powszechnym” na czele, ks. prowincjał podkreślił, że gmach stanąć mógł jedynie dzięki funduszom, wspaniałością ofiarowanym przez Ojca św. Obszerny teren zaś, na którym wybudowano dom, stanowił własność państwa, a ściślej

mówiąc, wojskowości, od której OO. Jezuiti teren pod budowę uzyskali. Stało się to — jak mówca zaznaczył — dzięki specjalnej życzliwości i woli ś. p. Marszałka Józefa Piłsudskiego, któremu mówca poświęcił dłuższe wspomnienia, zaznaczając również żywe zainteresowanie, okazane w tej sprawie przez ś. p. gen. Konarzewskiego. W dalszym ciągu swego przemówienia, uwydatniając ścisłe zespolenie się dwóch pierwiastków: polskości i katolicyzmu, tak dalece, że pojęcia Polak i katolik stały się niemal synonimami, mówca stwierdził, że publikacje OO. Jezuitów, służące Kościołowi, służą jednocześnie w najlepszy sposób narodowi i państwu. Kończąc, prowincjał wznosił okrzyk na cześć Ojca św. Piusa XI i P. Prezydenta R. P., który zgromadzeni spontanicznie podchwycili.

Na zakończenie ks. superior Rostworowski odczytał depesze z błogosławieństwem od Ojca św., od J. Em. Ks. Prymasa A. Hlonda oraz od członków episkopatu polskiego.

Bilans strat za rok ubiegły na terenie poezji wyraża się cyfrą trzech osób. Latem zginął tragicznie w nurtach Wisły Bronisław Ludwik Michalski — młody poeta z grupy lubelskiej, którego wiersze Geoffrey Potocki of Montalk tłumaczył na język angielski. Po Michalskim pozostał spory zbiór wierszy, który ukaże się pośmiertnie. Po jednym również tomiku pozostawili po sobie Franciszek Nowicki („Sonety tatrzańskie”) i Feliks Przywiecki („Śpiew w ciemnościach”), tomy ich jednak w literaturze polskiej stanowią nabytki wysokowartościowe. (ch)

Spomiedzy odznaczonych Wawrzynem Akademickim rzekło się odznaczenia pięć osób. Serję wrzeczzeń rozpoczął Aleksander Świętochowski, który ze zgrabną ironją zbywającym wawrzynem proponuje „ozdobić kogokolwiek najbardziej czującego się pokrzywdzonym”. Marja Rodziewiczówna robi to z większą impulsywnością, „nie będąc w żadnej duchowej paranteli z urzędową instytucją, zwaną Akademią Literatury”. Druga para zrzekają-



Nowy gmach Domu Wydawnictw Księży Jezuitów w Warszawie



Uczestnicy uroczystości poświęcenia „Domu Wydawnictw” Księży Jezuitów

ych się stanowi antypodę ideologiczną Świętochowskiego i Rodziewiczówny. Są to Andrzej Strug (Tadeusz Gałeczki) — czołowy pisarz lewicy opozycyjnej, którego akt jest konsekwencją zrzeczenia się wyho-ru do Akademii, oraz zeszloroczna laureatka nagrody państwowej — Marja Dąbrowska. (ch)

Dla uczczenia dziesięciolecia śmierci Żeromskiego i Reymonta odbył się w Poznaniu w końcu listopada zjazd polonistów ze wszystkich środowisk akademickich. (ch)

Sześćdziesięciolecie śmierci Seweryna Goszczyńskiego przypadnie 25 lutego r.b. Zmarł on we Lwowie i tam jest pochowany. W ostatnich latach opiekował się nim Agaton Giller, któremu Goszczyński zawdzięczał ocalenie od śmierci głodowej, grożącej mu w Paryżu. (ch)

Lut temu sześćdziesiąt zmarł w Warszawie znany i ceniony wówczas historyk literatury, przyjaciel szeregu najwybitniejszych pisarzy (Żmichowskiej, Kraszewskiego, Lenartowicza) — Wojciech Grochowski. W klasie czwartej uczniem jego był Henryk Sienkiewicz. (ch)

Nowe powieści w okresie przedgwiazdkowym wydali: Julian Wołoszynowski — autor „Roku 1863” i „Słowackiego”, dający tym razem w „Było tak” obraz Polski na tle dziejów; i Jalu Kurek, przedstawiający w powieści pt „Woda wyżej” ostatnią powódź na Podhalu. (ch)

„Bunt Absalona” Stanisława Miłaszewskiego będzie w bieżącym sezonie drugą po „Noem” Andrzeja Obeya sztuką teatralną, opartą na motywach biblijnych — tym razem oryginalną, nie tłumaczoną. W dziejach wpływu Biblii na polską twórczość literacką miesiące ostatnie zapisały się poza-tem powieścią Józefa Wittlina, która wykazuje dużą zależność od Biblii w zakresie zwrotów stylistycznych, przejętych stamtąd w sposób bardzo indywidualny. (ch)

Śląsk Opolski staje się bohaterem nowej książki Stanisława Wasylewskiego. Świe-ny gawędziarz, umiejący w wykwintny sposób

opowiadać o dawnych ludziach, a zwłaszcza o pięknych paniach, tym razem cały kunszt swego pióra oddał w służbę społeczną, żeby odmalować jaknajbarwniej uroki ziemi, o której dawna Rzeczpospolita tak mało pamiętała. Szczególnie piękny rozdział poświęca Wasylewski drewnianym kościołkom śląskim. Oto ciekawe zestawienie kościoła murowanego a drewnianego: „Kościół murowany wydaje się zawsze jednaki, nieczuły jakby na wszystko, co

się dzieje wokoło. Biała gładzina tynku, nielitościwie twardy masyw budowli, jest czemś obcym w krajobrazie wsi. Drewniany zaś sprawia wrażenie, że jest dziełem nie ręki ludzkiej, lecz samej przyrody. Cieszy się z nią i cierpi, współżyje. Jak-gdyby sam z ziemi wyrósł i z niej soki czerpał”. (ch)

Następca śp Piotra Choynowskiego w Polskiej Akademii Literatury wybrany zostanie wciągu lutego. (ch)



Szyndler Władysław

Portret ks. kan. M. W.

ZE SZTUKI

Jubileuszowy salon „Zachęty” można z dużym prawdopodobieństwem uważać za wyraz linii przewodniej działalności tej artystycznej instytucji stołecznej.

Łączy się w niej umiar w kultywowaniu wszelkich nowości, uznanie dla tradycyjnych zasad i norm twórczości, propagowanie sztuki, mogącej znaleźć refleks w szerszych masach zarówno przez swą fakturę, jak i temat.

Mamy więc w salonie jubileuszowym parę kompozycji batalistycznych J. Kossaka, odpowiadających swą anegdotalnością szerokim upodobaniom i wyobrażeniom.

Mamy świetnie reprezentowany pejzaż przez Żukowskiego, Lasockiego (odznaczonego), Szczyglińskiego, Popowskiego (mistrza aury księżycowej), Domaradzkiego (odznaczenie). Pejzaż polski w swej atmosferze. Mamy znakomite zwłaszcza męskie portrety Norblina (min. Raczkiewicz, woj. Jaroszewicz) brawurowy, choć, nieco oleodrukowy portret pani Tade Styki, niewątpliwie przykuwający uwagę wszystkich salonowych piękności, czekających na swego nowoczesnego Tycjana czy Rubensa. W portrecie prezentuje się zresztą kilka świetnych pędzli, jak Skotnickiego, Rudzkiej, Zawadzkiego (świetny portret J. E. Ks. Bisk. Szlagowskiego). Doskonały też jest autoportret — kompozycja Błażeja Iwanowskiego. Powszechnie zwraca uwagę portret ks. prał. Węglewicza’.



Hofman Władysław

Przy parkanie

Z MUZYKI

„Ormuz” (Organizacja Ruchu Muzycznego). — Wymienne koncerty polsko-łotewskie.

Dużo się mówi i pisze na temat upadku zamięłowania i kultury muzycznej w Polsce. Coprawda, nigdy nie mieliśmy tego zamięłowania we krwi w tym stopniu, co inne narody słowiańskie (wymienię tu choćby Rosję). Jeden z największych geniuszów muzycznych na przestrzeni wieków — Chopin — ujrzał światło dzienne w kraju, który w muzyce się nie kocha. Zwłaszcza zaś w dzisiejszych czasach obojętność szerokich sfer społeczeństwa dla muzyki przybrała nader groźne rozmiary.

Wiele złożyło się na to przyczyn. Bez wątpienia, nieszczęsny „kryzys” odegrał i tu, jak we wszystkich dziedzinach życia, dość poważną rolę. W skurczonym, ze wszech stron obcietym budzenie inteligenta na liście niedozwolonych „zbytków” znalazło się, jedno z pierwszych, kształcenie się w muzyce i słuchanie jej w salach koncertowych. Nie można jednak zwałać całej odpowiedzialności na kryzys, gdyż doświadczenie wykazuje, że mimo ciężkiej sytuacji finansowej stać nas często na popieranie różnych pseudo-artystycznych imprez, o których powodzeniu decyduje nie wartość istotna, ale ostry sos reklamy, w jakim je podano. (Czasem jednak publiczność, idąca tak na lep sensacji, wpada we własne sidła, jak zdarzyło się w zeszłym sezonie na pierwszym recitalu wspaniałej śpiewaczki murzyńskiej, Marian Anderson: wielu spośród słuchaczy przyszło wtedy wyłącznie, aby obejrzeć „dziwowsko” — czarną śpiewaczkę, a tymczasem spotkali się z niepospolitem, wstrząsającym wprost zjawiskiem artystycznym, pełnym głębi i czaru).

Nietylko więc kryzys finansowy ponosi winę w odsunięciu się społeczeństwa polskiego od muzyki. Grają tu także pewną rolę zmęczone nerwy współczesnego człowieka, który nie chce już w sztuce widzieć czynnika rozwoju umysłowego i duchowego, ale szuka w niej poprostu rozrywki, i to jaknajłżejszej, któraby przy najmniejszym możliwym wysiłku intelektualnym pozwoliła na chwilę wypocząć nerwowo i zapomnieć o udrękach i kłopotach codziennych. Znikły już niemal z powierzchni ziemi owe „muzykalne domy” (jak



Styka Adam

Karawana u wodopoju (Algier)

Mamy wreszcie kilka kompozycji rodzajowych. Adam Styka daje nam płomienny i nieco stereotypowy Egipt, a Jakub świętny jarmark w Poczajowie, słusznie nagrodzony srebrnym medalem.

Złoty medal natomiast przypadł w rzeźbie, za głowę starca, znakomitą w swych walorach plastycznych, drugi srebrny za projekt pomnika, dłuta Ruszki.

To wyróżnienie rzeźby w jubileuszowym salonie, oby stanowiło dobry prognostyk dla tej tak u nas zapomnianej dziedziny.

Ciekawie też zaprezentował się Władysław Hoffman, malarz, łączący znakomitą technikę, jasność, przejrzystość kompozycji z głębszym, symbolicznym tematem.

Interesująco wypadła też wystawa związku plastyków w IPS'ie.

Instytucja ta, rozpoczynająca obecnie czwarty rok istnienia, daje naogół więcej pola nowym kierunkom plastycznym i nie cofa się przed utworzeniem swych podwoi przed nawet niezupełnie jeszcze skrytalizowanym eksperymentarstwem, w tem przeświadczeniu, że sztuka, jak wszystko na świecie, musi szukać nowych dróg, że ten, który szuka, wkońcu znajduje.

Ostatnia wystawa przynosi właśnie szereg nazwisk i dzieł związanych z poszukiwaniem nowych dróg. I dlatego jest interesująca, budzi niepokój, ale ten twórczy niepokój, którego należy zawsze żywić sztuce. IPS nie usuwa się jednak od spełnienia funkcji pośrednika między zdobytemi już i uznanymi pozycjami w sztuce a publicznością, której dał wystawę Noakowski.

ten, którego wizję ukazuje nam czasem radio warszawskie); w życiu towarzyskim, na miejsce dawnego wspólnego muzykowania, a stopniowo na miejsce ciekawej rozmowy o wszelakich zagadnieniach i prądach kultury i sztuki — wszedł brydż i rozpanoszył się wszechwładnie. Nie chce się dziś ludziom, (zwłaszcza w wielkich miastach) słuchać muzyki — chyba płyty tanecznej.

A trzeci czynnik, najważniejszy i najgłębiej sięgający — to braki wychowania muzycznego młodzieży szkolnej. Jakż odbiorca dobrej muzyki może wyrosnąć z dziecka, któremu szkoła nie zaszczepiła ani zamiłowania, ani znajomości elementarnych zasad muzyki i jej dziejów? Zresztą, przeprowadzenie takiej pracy na jednej tygodniowo, i to nadobowiązkowej, godzinie lekcyjnej jest niemal fizycznym niepodobieństwem. Jeśli więc dom — a spotyka się to coraz rzadziej — nie wyrobi w dziecku kultury muzycznej, to po ukończeniu szkoły średniej maturzysta dostaje się pod niepodzielny wpływ muzyki dancinowej i tak zwanej „lekkiej”. Stały kontakt z chwastami literatury muzycznej paczy do reszty smak młodzieży i czyni ją na przyszłość niezdolną do przyjmowania muzyki prawdziwie wartościowej.

Chcąc zatem uratować byt sztuki muzycznej w Polsce, trzeba zacząć od rzeszy młodzieży, zbliżyć je i oswoić z muzyką — wychować przyszłą publiczność. Zrozumiało to ruchliwe i sprężyste Towarzystwo Wydawnicze Muzyki Polskiej w Warszawie i poszło po tej właśnie linii w swej na szeroką skalę zakrojonej akcji.

Mianowicie w październiku roku 1934 powstała przy Towarzystwie nowa placówka: Organizacja Ruchu Muzycznego, zwana w skrócie, dziś już nader popularnym, „ORMUZ'em”. Uzyskawszy pełne zrozumienie i poparcie ze strony Ministerstwa W. R. i O. P., „Ormuz” przystąpił na dwóch jednocześnie terenach — prowincji i szkół warszawskich — do pracy, polegającej na systematycznym, planowym organizowaniu audycji i koncertów. Oczywiście punkt ciężkości pracy ormuzowej spoczywa na audycjach dla młodzieży; im „Ormuz” poświęca najwięcej czujności i starania.

Budowa audycji i koncertu jest formalnie zbliżona: podwójny recital (np. śpiewskrzypce, śpiew-fortepian), naturalnie na audycji krótszy, aby nie przekraczać ustalonych ram godzinny lekcyjnej. Program koncertu dla starszej publiczności zawiera zręcznie zestawione utwory różnych epok i stylów, ze znacznym uwzględnieniem twórczości polskiej. Audycja zaś szkolna obraca się zwykle dokoła jednego określonego tematu (np. „Tańce polskie” i „Pieśń artystyczna”, „Twórczość Chopina” i t. d.). Cykl ośmiu audycji, związanych wspólną linią wytyczną, tworzy całość, przewidzianą na rok szkolny w danym zakładzie naukowym. Audycję poprzedza związane słowo wstępne, zaś jej punkt kulminacyjny przypada na t. zw. „plebiscyt”: po wyczerpaniu programu samo audytorium wybiera dwa utwory, które najbardziej mu się podobały, a które zostają wtedy powtórzone. Dodam nawiasem, że bardzo często, zwłaszcza na prowincji, wykonawcy muszą wielokrotnie bisować poza plebiscytem.

Wogóle młoda publiczność wszędzie reaguje w sposób jaknajmiłszy. Łatwo wyczuć, że audycje „Ormuzu” są jej naprawdę potrzebne, że przyczyniają się do wypełnienia luki istotnie dotkliwej. Szczerzy entuzjazm młodzieży przybiera czasem niezwy-

kłe rozmiary; nierzadko między nią a wykonawcami audycji nawiązuje się bliższy, serdeczny kontakt; nierzadko też młodzi słuchacze audycji gromadnie przychodzą na późniejszy koncert.

Co do starszej publiczności, to — rzecz charakterystyczna i zupełnie zresztą zrozumiała — im mniejsze miasto i bardziej „odcięte” komunikacyjnie, tem gorętsze przyjęcie i żywsze zainteresowanie spotyka tam występy ormuzowych artystów. Zdarza się czasem, że publiczność, napozór zupełnie nieoswojona z muzyką i z nastrojem koncertowym, samorzutnie nie wpuszcza na salę osób spóźniających się; w niektórych znów miastach, mimo zepsutego światła elektrycznego, po paręset osób zgromadza się na koncercie przy świecach i wysłuchuje go w pełnym, niezmaconem skupieniu.

Już w pierwszej połowie sezonu 1934/35 „Ormuz” urządził ogółem 222 audycje w Warszawie i na prowincji; druga połowa przedstawiała się również pokaźnie, a w ostatnim półroczu (jesień 1935) wziął „Ormuz” jeszcze większy rozpęd. 10 zespołów dwu- i trzyosobowych bierze udział w objazdach; na mapie Rzeczypospolitej w gabinecie kierownika „Ormuzu”, prof. Ochlewskiego, coraz więcej zjawia się zielonych punktów, oznaczających placówki ormuzowe, coraz więcej nadchodzi propozycji i ofert „z terenu”. Akcja reklamowa, w sezonie ubiegłym ograniczająca się do afiszów, obecnie wzbogacona została o powtarzający się co pewien czas kwadrans radiowy pod nazwą „Ormuz wyjeżdża”, złożony z informacyjnego słowa wstępnego i krótkich, 2—3 minutowych występów „ormuzowców”. Najsilniej jednak pragnie „Ormuz” przyciągać nowe ośrodki i zatrzymywać dawne — wysokim poziomem swych koncertów. Dlatego też wciągnął do współpracy najwybitniejsze i najbardziej znane polskie siły artystyczne.

„Ormuz” nie ma w sobie nic ze zwykłego „biura koncertowego”; panuje w nim duch ideowej współpracy i niemal wojskowej karności. A warunki pracy — także niemal „wojenne”: wieczny pośpiech, forsowne etapy objazdów, noc w wagonie, brak wygod, beznadziejny naogół stan fortepianów, ogromna ilość występów (po 4—5 dziennie) — to wszystko rzeczy dla artysty niesmiernie ciężkie. Łagodzi je serdeczny stosunek ludności miejscowej do „ormuzowców”, zyczliwość władz (w większości wypadków) i przedewszystkiem świadomość, że dokonywa się pracy daleko w przyszłość sięgającej i naprawdę pozytywnej.

Pionierska działalność „Ormuzu” przypomina dawną pracę warszawskiej „Lutni”, która pod wodzą nieodżałowanego ś. p. Piotra Maszyńskiego zakładała podczas objazdów koncertowych towarzystwa śpiewacze na obszarze całego zaboru rosyjskiego. Jeden z najbardziej zasłużonych weteranów „Lutni” nazwał to kiedyś „snuciem pajęczyny”. Miejsmy nadzieję, że „Ormuz” osnuje wkrótce całą Polskę taką pajęczyną i to nierozzerwalną.

Piękną inicjatywę powzięła i w czyn wprowadziła Bratnia Pomoc studentów Konserwatorium Warszawskiego: organizację szeregu wymiennych koncertów młodzieży między Polską i zagranicą. Wycieczki takie mogą okazać się czynnikiem o pierwszorzędnym znaczeniu dla propagandy i nawiązania bliższego kontaktu kulturalnego. W imprezie, o której mowa, na pierwszy ogień poszła artystyczna wymiana z bliską sąsiadką naszą — Łotwą.

W maju 1935 zespół uczniów Warszawskiego Konserwatorium (w liczbie 10 osób) wystąpił z koncertem w Rydze i zjednął sobie nader życzliwe przyjęcie, osiągając ponadto znaczny sukces prasowy. W listopadzie zaś 1935 przybyła do Warszawy z rewizytą artystyczną drużyna studentów konserwatorium ryskiego. Uczestnicy wycieczki polskiej, którzy w Rydze przyjęli się niezwykle dogodnym warunkom pracy na terenie tamtejszego konserwatorium — mieli teraz sposobność oglądać wyniki tej pracy.

Przekonała się warszawska publiczność, że młodzież łotewska umie pracować poważnie i inteligentnie, a zarazem wkładać w swój stosunek do muzyki wiele gorącego entuzjazmu. To ostatnie odkrycie było pewnego rodzaju rewelacją dla nas, jako sprzeczne z ogólną opinią o chłodnym i spokojnym temperamentem łotewskim. Jednak już w Rydze, na operze, młodzież polska zauważyła u śpiewaków ten silny pierwiastek uczuciowego „przeżycia”, dominującego czasem nad przemyśleniem, często zbyt jaskrawego w wyrazie, ale zawsze budzącego sympatię dzięki swej szczerości. Ten pierwiastek zaznaczył się wyraźnie u dwojga młodych śpiewaków, którzy występowali w Warszawie; zarówno Anna Ludins (m.-sopran), jak Aleksander Vilumanis (baryton) wykazali piękne materiały głosowe i wybitny nerw interpretacyjny, raczej jednak operowy niż pieśniarski.

U pianistek (Velta Delle i Aina Petersons) dała się zauważyć przewaga żywiołu muzycznego nad wirtuozowskim. Velta Delle grała własne warjacje fortepianowe, nieco konserwatywne w stylu, ale wdzięczne dla pianisty, o wielu ciekawych momentach, przytem ujmujące prostotą pomysłów i staranną robotą kompozytorską.

Po koncercie warszawskim utrwaliło się jeszcze silniej pewne wrażenie, odniesione przez młodzież polską w Rydze: oto Łotyże, mając indywidualnych talentów ani mniej, ani więcej niż inne narody, obdarzeni są wybitnym „instynktem społecznym” w muzyce, umiejętnością harmonijnego zestrainowania się w zespół. Dlatego na tak wysokim poziomie stoją orkiestry i chóry (zwłaszcza chóry) na Łotwie. W drużynie gości łotewskich także skupiła na sobie żywą uwagę publiczności i uzyskała najszerszy aplauz przedstawicielka działy odtwórczości muzycznej o „społecznym” zabarwieniu: akompaniatorka, Kete Pols. Subtelność jej i czujność, giętkość, z jaką szła po linii zamierzeń swego solisty, czasem inicjatywa wyrazista a dyskretna, wdzięk matowego uderzenia, rytm lekki a pełen życia — oto niepowседневne walory akompaniatorskie Kete Pols, którą ciekawi byliśmy również usłyszeć w charakterze solistki.

Obok niej — na pierwszy plan wysunęła się niezwykle utalentowana skrzypaczka, Sana Rasins, młodzieńca, bo zaledwie 15-letnia. To niemal cudowne dziecko zażyło wielkimi możliwościami technicznymi i nawskroś szlachetną treścią wewnętrzną swej gry. O ile dziś można przewidzieć, czeka ją piękna przyszłość estradowa.

Obfity plon wrażeń i korzyści, odniesionych z wzajemnych artystycznych odwiedzin młodzieży polskiej i łotewskiej, winien zachęcić Konserwatorium Warszawskie do dalszej akcji w kierunku „międzynarodowej wymiany”. Projekt był piękny, pierwszy etap pracy dał nader ciekawe wyniki — cała akcja zasługuje na uznanie i poparcie.

Jadwiga Szamotulska.

Dział Kobiecy

DLA DUSZY.

Mało zważaj na to, kto jest za tobą, albo przeciw tobie; lecz tak czyn i o to się staraj, aby Bóg był z tobą we wszystkim, co czynisz.

Miej dobre sumienie, a Bóg będzie obrońcą twoim.

A kogo Bóg wspierać zechce, temu złość ludzka szkodzić nie zdoła.

Jeśli umiesz milczeć i cierpieć, bezwątpienia ujrzesz pomoc Bożą.

On zna najlepiej czas i sposób wyzwolenia twego i dlatego powinieneś zupełnie zdać się na Boga.

Boża to rzecz jest, wspierać i wyzwalać od wszystkiego smutku i zawstydzienia.

Często bardzo to służy do nadania nam większej pokory, że inni znają i wytykają nasze wady.

Tomasz à Kempis.

O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

LIST ZE LWOWA

Cześć dla grobów to religja, która nie zna niedowiarków.

I. Kotarbiński.

Odbieram list ze Lwowa, a w nim, zamiast echa karnawału, czytam odezwę, z której treścią dzielę się z Szanownymi naszymi Czytelniczkami.

Brzmi ona jak następuje:

RODACY!

Po długotrwałej wojnie nadszedł czas pracy i twórczego trudu, nadszedł czas rzewnych wspomnień o tych najdroższych, którzy na polach bitew poukładali swe głowy do snu wiecznego i życiem swoim okupili dla pozostałych upragniony pokój i swobodny rozwój postępu. Cześć i chwała należą się tym Bohaterom, którym kazał los przeznaczeń składać najdroższy skarb, życie swoje, w ofierze dla Państwa i Narodu!

W myśl obowiązków czci pamięci poległych i obowiązku wdzięczności dla nich, uchwalili pokojowy Traktat Wersalski, iżby każde Państwo opiekowało się po wsze czasy w granicach swoich grobami i mogiłami ofiarnych rycerzy. Wielki to zaprawdę zaszczyt i święty obowiązek!

Opieka nad grobami Bohaterów niełatwym jest atoli zadaniem. Wymaga ona pracy i pokrycia dużych kosztów, które i na społeczeństwie, i na obywatelach Państwa ciążą. W tym kierunku: „Polskie Towarzystwo Opieki nad Grobami Bohaterów” rozwija swoją działalność, gromadzi szczątki i popioły żołnierzy do wspólnych ognisk cmentarnych, wznosi pomniki, porządkuje zaniedbane cmentarze i groby wojenne i chroni je przed zagładą. A pracy jest wiele; ziemię naszą zdobią mogiły żołnierzy polskich od Kościuszki jeszcze, poprzez rok 1831 i 1863, Legjony Polskie i lata 1918—1921.

Nie zdoła Towarzystwo nasze spełnić powyższych zadań, jeżeli nie pójdzie z niem społeczeństwo. Świadomi ciężkiego położenia materialnego wielkiego odłamu ludności — prosimy o zapisywanie się w poczet członków wspierających, uiszczając

SKŁADKI TYLKO PO 10 GR. MIESIĘCZNIE, WZGLĘDNIE 1.20 ZŁ. ROCZNIE.

Składki te są tak drobne, że nikomu nie uczynią różnicy w jego dochodach.

Przesyłając niniejszą odezwę, prosimy JWPana o łaskawe przystąpienie w charakterze członka wspierającego do podpisanego Stowarzyszenia — a przez osobiste przystąpienie zaapelować do PP. współpracowników, znajomych i t. d., by zechcieli przez wpłacenie składki członkowskiej, umożliwić nam zrealizowanie zadań i celów zakreślonych statutem.

Wykaz zgłoszonych członków wspierających raczy P. T. przesłać nam, przyczem prosimy o łaskawe poparcie naszej prośby.

W razie nieprzychylenia się do naszej prośby, prosimy o zwrot druków pod powyższym adresem.

Sekretarz:

Mieczysław Rosicki

Skarbnik:

Nikodem Herold

Prezes honorowy:

Władysław Jędrzejewski

Gen. dyw. w st. spocz.

Prezes:

Kazimierz Bautro

Zast. Prezesa:

Ppułk. s. s. Zygmunt Zygmuntowicz

Gdybyście jeszcze, Szanowne Panie, po odczytaniu tego pięknego, spokojnego, poważnego wezwania, podpisanego zasłużonymi imionami, mogły uprzytomnić sobie to dzieło szlachetnych wysiłków ludzkich. Gdybyście miały do wspomnienie żywo stojące mi w pamięci wielkiego grobu tysięcy i tysięcy bohaterów, którzy ponieśli śmierć w obronie Ojczyzny. Gdyby Wam w myśli stanęły te oczęta dziecięce, które, z podobizn na krzyżach zawieszonych, witają cię przy każdej mogiłce, te setki i setki imion wyrte na kolumnach cmentarnych, to niebyłoby żadnej, któraby małym datkiem dziesięciu groszy miesięcznie, nie przyczyniła się do utrzymania ciągłości pracy tego cmentarza — Chlubny naszej!

Bo to miejsce spoczynku we Lwowie, to cmentarz, z którego się nie wychodzi zgnębnym. Wychodzi się

z dumą, że taki — jest. Serce pęka na myśl, iloma łzami każde młode życie było żegnane, ale i krzepi się chluba, że takie było.

Z wiarą, że „list ze Lwowa” nie przbrzmi bez głośniego echa, wśród naszych Czytelniczek, nie odmawiając pośrednictwa, załączamy dokładny adres bezpośredni:

Polskie Towarzystwo Opieki nad Grobami Bohaterów. Zarząd oddziału wojewódzkiego. Lwów. Ul. Chorażczyzna 5 II p.

L. Kotarbińska
czł. wspierający Stowarzyszenia

«CO SŁYCHAĆ W GDYNI?»

Szanowna Redakcja zapytuje mnie: Co w Gdyni słychać? Dużo i zawsze za mało. Ale że na każdy list odpowiadać należy, więc, choć, na razie, to i owo zażegnane, stwierdzić muszę, że morze dało się brzegom we znaki dość przykro. Deszcz lał, wicher wył, a brzegi biedne nie strzymywały naporu rozjuszonych uderzeń fal. Kamienna góra mało się nie zwałała w nurty z przerażenia, bo tu i owdzie betonowe umocnienia promenady — naruszone i to na znacznej przestrzeni 50 mtr. Koło domu zdrojowego, dość daleko od brzegu stojącego, jednak odczuło boleśnie napór fal, tem więcej, że uszkodzona została betonowa skarpa, choć wydawała się tak mocna.

Walka z żywiołem to rzecz zawsze straszna, bo nieobliczalna jest jego siła.

I Chałupy, i Kuźnice i Jurata mają wyrwy, podmyte brzegi, stąd strach o niejedną budowlę, na szczęście próżny. Wszystko stoi pięknie na miejscu, dumne, że się uchroniło, i zadowolnione, że nikt z mieszkańców nie ucierpiał i że doliczyli się wszystkich, choć chwilami bywał popłoch: „czy aby wróci”, „czy go gdzie wicher nie porwał”, „czy żyje?”

Żyją wszyscy i pracują żwawo.

W Szkole Morskiej odchodziło się uroczyste 15-lecie jej istnienia. Dyrektor Mohuczy mówił, ilu się to chłopców naszych na fale oceanu puściło, ilu jest, ilu znów niebawem stanie do roboty gotowych marynarzy, którzy po odhytej przez rok podróży naokoło świata na „Darze Pomorza” wyjdą ze szkoły z dyplomem, dopełniając praktyką w większych portach swe wiadomości.

Nasz Opiekun, Najprzew. Ks. Biskup Okoniewski, zawsze jest wśród nas. Zawsze pięknie mówi, święci, a życzy, a pragnie, żeby wszystko szło składnie i po Bożemu. Niech Mu Bóg szczęści za to serce dla nas otwarte. Bo i w Grudziądzu, słyszę, święcił aż sześć szybowców z wielką uroczystością. Słowem sił nam nie szczędzi.

Na Helu, od którego woda zaczęła uciekać, rybacy się nie dają. Gonią ją i oto złowili łososia, który miał 2 metry długości a 100 kgr. wagi. Oczywiście zaraz znalazł nabywcę, który dał zań kilkaset ładnych złotych.

Półów śledzi, po który już dziś jeżdżą rybacy naszymi własnymi kutrami na morze Północne, powiódł się

doskonale. Byle tych kutrów więcej, to będziemy sami sobie wystarczać, nie płacąc drogich ceł za transporty śledzi. I to przyjdzie, bo pamiętajmy, że parę lat temu nie mieliśmy ani jednego kutra, któryby mógł dotrzeć do morza Północnego.

Ostra fala czasem figle płata. Niedawno bardzo pomyslny połów koło Bornholmu skończył się tem, że, chcąc uniknąć zatonięcia, musiano połowę ryb utopić napowrót w morzu, ratując życie i kutry.

Zato na wybrzeżu gdyńskim ukazały się gromady ptactwa arktycznego. Widocznie oczekują na zbliżenie się ławic szprotów, którymi raczyć się będą do syta.

Jakie to wszystko mądre na tym świecie, ale jak jedno na drugie czyha! Niczem Włochy na Abisynińczyków.

Dochodzą nas wieści, że Holendrzy, piękny naród — morski naród, więc poważny i spokojny, a cichy, umyślił pomoc dla naszych rybaków, którzy na obcym brzegu goszczą i do ich portów zawijają, żeby na morzu Północnem łowić śledzie i uczyć się od wytrawnych żeglarzy ich mądrości.

W Scheweningen, ślicznej nadmorskiej miejscowości, znaleźli się zacni ludzie, ze sfer katolickich, którzy dla naszych rybaków zorganizowali Dom Marynarza Polskiego. Dom urządzili, poświęcili, oddali pod opiekę „Apostolstwa Morza” w Hadze i już wprost do posła R. P. p. W. Babińskiego trafili. Czy to nie pięknie?

I nasz „Dom Marynarza” w Gdyni rośnie. O ile wiem, „Oddział Kobiet L. M. K. w Warszawie” i „Oddział Kobiet L. M. K. w Gdyni” zaczął się nim na serjo zajmować. To i dobrze, bo tam schludnie i rzetelnie, ale pomocy trzeba, a któż lepiej odczuje potrzeby marynarza, jeśli nie serce kobiece.

Może już za długo piszę. Niech tam pani Redaktorka — obetnie, ile trzeba, byle nie za dużo, bo znów tych grosików za wiersze ubędzie. A tego szkoda. Zresztą deszcze już nie padają. Wiatry ścichły. Fale się uspokoiły. Morze wygładziło. Już idzie wiosna! Z nią i „pieśń radosna” i uśmierzenie biedy ludzkiej, która tu liczy godziny do napływu gości letnich, ich śmiechu, żartu i pogody!

Nadbrzeżak.

CO ROBIĄ NASZE KOBIETY?

P. Jadwiga Krawczyńska pisze z niepokojem o zagrożonych placówkach pracy Kobiet w jednym z ostatnich numerów „Bluszczu”. W pięknej artykule, nawołuje Autorka do otoczenia czujnością raz zdobytych placówek i obrony ich aż do zwyciężenia wszelkich niesłusznych w tym kierunku ograniczeń. — Nikt już „nie cofnie życia fal”. Zdobyte umysłowe kobiety świadczą o ich zupełnie należnych im prawach do sięgania wraz z uzdolnieniem i przygotowaniem do wszelkich stanowisk.

„W istniejących warunkach”, nawołuje Autorka, „trzeba odważnie i mocno nie tylko protestować i bronić się, lecz stawiać żądania i prowadzić aktywną działalność w zdobywaniu, należnych kobiecie pracujących — placówek”.

Sądzymy, że bez walki — życie, ten najwyższy regulator spraw ziemskich — zrobi swoje z pomocą bezinteresownej pracy i miłości swego zawodu, w każdej dziedzinie.

Mamy na to twierdzenie przykłady takie — jak życie i działalność wielkiej Marji Skłodowskiej-Curie, która dwa razy, raz z mężem, drugi raz sama — zdobyła nagrodę Nobla, — a dziś znakomitej jej córki Ireny Curie-Joliot, która zdobywa już nagrodę Nobla — za prace naukowe, chociaż jeszcze tak młoda.

Nie zdoła nie „powstrzymać myśli w biegu”, i nikt już nie zamknie przed kobietami przybytków nauki i zdobywania wiedzy. Tem więcej, że dwie przytoczone wyżej genialne kobiety, są klasycznymi przykładami, jak nie ucierpiały na ich pracy, ani dom, ani rodzina.

Panie: inż. arch. N. Jankowska, Marja Chmielińska i dr. Marja Skokowska-Rudolfowa, w wydziale mieszkaniowym, Polskiego Tow. Higjenicznego, pouczają o ważności warunków, w jakich żyjemy, w jakich rozwija się dziecko, w jakich pracujemy lub wypoczywamy po pracy.

Oczywiście „w mieszkaniu trzeba mieć światło, powietrze, swobodę ruchów, własny kąt do spania, ciszę i izolację”.

Cudownie. Ale, iluż to ludzi posiada te warunki! Oczywiście, nowe dzielnice miasta, nowa prosta struktura budowli, duże okna, dobre rozplanowanie mieszkalnych bloków, wszystko to zmierza do pięknej nadziei, zrealizowania postulatów higienicznych, i na tem polu już duże mamy nietylko usiłowania, ale i ich realizację. Tymczasem, słuszne nawoływania o utrzymanie nieskazitelnej czystości naszych siedzib, musi niejednemu z nas zastąpić ich wygodę i uchronić od chorób zakaźnych, które często wprowadza właśnie ubóstwo mieszkaniowe.

Pięknie temat ten rozwijała p. dr. Marja Skokowska, mówiąc, że: „gruźlica, dur brzuszny” znajdują podłoże sprzyjające w ciastkach kątach; że „jasny, cichy, ciepły dom rodzinny, to zapewnienie i fizycznego i moralnego rozwoju społeczeństwa”.

Obyśni wszyscy osiągnąć kiedyś mogli te błogie warunki.

VIII Walny Zjazd organizacji przysposobienia kobiet do obrony kraju, odbył się w Krakowie, rozpoczęty wysłuchaniem uroczystej Mszy św. na Wawelu.

Oddanie hołdu jednej z najbardziej zasłużonych kobiet p. Marji Karczewskiej.

W siedzibie Stow. Zjedn. Ziemianek odbyła się uroczystość uczczenia zasług p. Marji Karczewskiej, położonych przez nią w ciągu 50 lat pracy na polu gospodarczo-społecznym w zakresie podnoszenia poziomu gospodarstw domowych.

Uroczystość rozpoczęło przemówienie wiceprzewodniczącej p. M. Janta-Pończyńskiej, która w zastępstwie chorej przewodniczącej Rady naczelnej ziemianek — p. El. Czarnowskiej odczytała jej list, podnoszący zasługi jubilatki i wręczyła jej dyplom, przyznany przez Radę.

W im. Stow. Zjedn. Ziemianek przemawiała następnie p. Anna Glinczyzna, w imieniu „Arsu” — p. Zofja Rogowska, w im. Młodych Ziemianek — p. Magd. Skarzyńska, w im. Zw. Pań Domu — p. Iza Mandukowa, Instytutu Gosp. — p. J. Huberowa, „Bluszczu” — red. St. Podhorska-Okolów, kursów im. Staszica — p. Dederko, w im. praktykantek — p. Ant. Masłowiczówna i p. Dochówna.

Po przemówieniu wzruszonej jubilatki odbyło się zebranie towarzyskie.

Zjazd Związku Pań Domu wysłał do p. Marji Karczewskiej w dniu jubileuszu 55-letniego jej pracy społeczno-gospodarczej następujący list:

Czcigodna Jubilatko!

Nasze wszystkie członkinie, zebrane w dniu 13 grudnia 1935 r. jednogłośnie postanowiły przyłączyć się do wyrazów hołdu dla Czcigodnej Pani z okazji Jej Jubileuszu.

Pięćdziesiąt pięć lat ofiarnej pracy oświatowej i społecznej, podjętej w latach niewoli i prowadzonej niezamordowanie po dzień dzisiejszy, zasługuje na najwyższe uznanie.

Czcigodna Pani, Twój Jubileusz ofiarnej pracy społecznej, prowadzonej dla gospodyń wiejskich, łącz się z wielkiej doniosłości i wartości pracą, tak chętnie nam ofiarowaną przy powstaniu i rozwoju naszej organizacji.

Toteż z wdzięcznością myśl nasza zwraca się ku Tobie, Dostojna i Začna Pani, wraz z życzeniami długich lat zdrowia i pomysłowości.

Szereg organizacji kobiecych zwołał zebranie protestacyjne przeciw ograniczaniu praw kobiet do pracy. Były przedstawicielki stowarzyszeń, liczących zgórą 100.000 członkiń.

P. A. Szlągowska odczytała 2 memorjały: 1) Unji Pracowników Umysłowych w obronie praw kobiet do pracy, złożony



p. premierowi, 2) Stow. Kobiet z Wyższem Wykształceniem, złożony również p. premierowi na specjalnie uzyskanej audjencji.

Następnie odczytała projekt zarządzenia rządowego o zwalnianiu mężatek ze służby państwowej, podany w „Gazecie Polskiej” z dn. 19 grud. ub. r.

Mocne przemówienie wygłosiła przedstawicielka młodzieży — studentka p. W. Piotrowska, która oświadczyła: — Nie możemy zrezygnować ani z małżeństwa, ani z pracy zawodowej — i podkreśliła groźbę, jaką dla małżeństwa jest ograniczenie praw kobiet do pracy.

Uchwały zebrania będą złożone Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej, p. premierowi i wicepremierowi oraz marszałkom senatu i sejmu.

W Warszawie odbył się **Walny Zjazd centralnej organizacji kół gospodyń wiejskich**.

Na zjazd przybyło około 300 delegatek, reprezentujących koła z 9 województw. Na uroczyste otwarcie przybyli przedstawiciele władz państwowych, samorządowych, organizacji rolniczych oraz społecznych. Zjazd zagałła p. Zarembina (Lublin), która, po powitaniu przedstawicieli władz i instytucji oraz delegatek, w krótkich słowach omówiła cele i zadania organizacji kół gospodyń wiejskich. Zjazdowi przewodniczyła p. Apolonja Księżopolska. Wygłosiła referaty p. E. Malinowska p. t. „Oświata wśród kobiet” i p. H. Świącicka n. t. „Organizacja zbytu”. Po referatach odbyła się dyskusja. Po załatwieniu szeregu spraw organizacyjnych, dokonano wyboru nowych władz organizacji.

W grudniu ub. r. odbyło się walne zebranie członkiń Warszawskiego Klubu Wioślarek. Mimo ogólnie ciężkich warunków, klub, jak co roku, czyni inwestycje, dając członkiniom możność zdrowego i przyjemnego odpoczynku.

Łodzie W. K. W. odbywały wycieczki na różnych wodach polskich: jak Iwa, Łania, Dniestr i innych, pozatem kilkanaście członkiń spłynęło Prutem i Dunajem do „Morza Czarnego”.

Z regatowych sukcesów podkreślić należy, że osada W. K. W. zdobyła „Mistrzostwo Polski” na czwórkach — nagroda po trzykrotnym zdobyciu przeszła na własność Klubu.

W sekcji żeglarskiej zaznaczył się bardzo duży ruch. Prócz wycieczek śródlądowych, żeglarki wyruszyły na morze.

Sekcja narciarska przejawia dużą żywotność: organizuje obozy narciarskie w różnych miejscowościach od Zwardonia aż do Worochty, wypożycza sprzęt narciarski i t. p. Wiele członkiń sekcji narciarskiej zyskało w roku sprawozdawczym odznaki górskie i za sprawność.

Na walnym zebraniu uchwalono stworzyć nową sekcję: siatkówki.

Nowy zarząd stanowią: prezeska — dr. J. Tuwanówna; wiceprezeska — An. Kukszówna, wiceprezeska — inż. Trembicka, sekretarka — mg. I. Biskupska, skarbniczka — H. Kleczkowska, naczelniczka przystani — J. Suffczyńska.

Składasz ofiarę kościołowi w postaci świec — złóż najpraktyczniejsze i najwięcej kościołowi potrzebne:

PACZKĘ SAKRAMENTEK
 woskowych i liturgicznych wyrobu polskiej i katolickiej FIRMY

„**POLO**”



CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

Wiedzieć trzeba, a naśladować należy: „Katolickie Stowarzyszenie Kobiet archidiecezji warszawskiej, które coraz żywiej zajmuje się opieką nad macierzyństwem.

Od września przeprowadzono 8 pięciodniowych kursów zdrowia: w oddziale przy Bazylice, na Grochowie, Targówku i Bródnie oraz w Milanówku, Żyrardowie, Grodzisku, Sochaczewie. Każdy kurs objął od 30 do 80 słuchaczek. Poza to odbyły się kilkanaście pogadanek z dziedziny higieny oraz konkurs zdrowia dziecka, zorganizowany w Milanówku.

Oczywiście, że przy tej sposobności mnóstwo spłata się innych usług, którymi znaczne niewiasty, obejmują nieraz ciężkie warunki swych słuchaczek.

Wiedzieć dobrze i pamiętać o tem zawsze trzeba, że nie samym chlebem człowiek żyje, że często dobra książka, to najlepszy towarzysz, dlatego też notujemy, że Sekcja Bibliotek Akademickiego Stowarzyszenia charytatywnego „Pomoc Bliźniemu”, pragnąc stworzyć bibliotekę dla dorosłych, prosi o nadsyłanie dobrych książek do lokalu Macierzy Szkolnej, gdzie oddział „Pomocy Bliźniemu” w poniedziałki i we środy pełni dyżury od 7 do 9 wiecz. adres: Krak. Przedmieście 7 m. 6. Telefon 8.65.05 cały dzień.

Wiedzieć należy, o czem ogłasza Minist. Spraw Wewnętrznych, że Polki, wychodzące za cudzoziemców nie tracą obywatelstwa polskiego. Jeśli będą dobrymi żonami, nie przestając pamiętać o swej ojczyźnie, to nawet może to być naszą propagandą. Znam Niemca, który szczęśliwy w małżeństwie mówi: jeśli wszystkie kobiety w Polsce, takie jak ty i te, które przez ciebie poznaję, to można Wam kobiet zazdrościć. Miał rację, bo jak się Polka uda to —

niema lepszej na świecie. Czy często się udaje — to już rzecz inna.

Wiedzieć trzeba, że w sprawie podatków od lokali, są następujące prawne informacje:

Od 1 stycznia nie ulegnie zmianie stopa podatku, która w dalszym ciągu wynosić będzie 8 proc. komornego od lokali do 3 izb włącznie i 12 proc. od lokali większych. Zwolnione od podatku będą lokale mieszkalne (nie handlowe) jedno i dwuizbowe oraz obniżona będzie podstawa wymiaru podatku przez obniżenie, na okres od 1 grudnia 1935 r. do 30 listopada 1937 r. komornego o 15 proc., jeśli chodzi o lokale do 3 izb włącznie i o 10 proc., jeśli chodzi o lokale większe. Poza to ulegną zmianie terminy płatności podatku, a mianowicie zamiast dotychczasowych czterech rat kwartalnych, wprowadzone będą dwie raty półroczne.

Wiedzieć trzeba, jeśli nie dla siebie, to dla informowania innych, że w państwowych szkołach akademickich zarządzenie Minist. Oświecenia z dn. 26-go ub. m. ustala 3 terminy prekluzyjne wnoszenia opłat, mianowicie: pierwszy na 10 stycznia, drugi na 10 marca i trzeci na 10 kwietnia. Przy wyznaczaniu pierwszego terminu wzięto pod uwagę takie okoliczności, jak: 1) pozostawienie rodzicom lub opiekunom słuchaczy czasu, potrzebnego na przystosowanie budżetów domowych do wchodzących w życie 1 b. m. dekretów o podatkach od uposażeń; 2) załatwienie podziału stypendjów, które nastąpi ostatecznie w ciągu pierwszej dekady grudnia. Ponadto rozłożenie opłat na trzy raty ułatwia wywiązanie się słuchaczom państwowych szkół akademickich z obowiązku uiszczenia opłat, gdyż pozwala na rozłożenie, a więc i złagodzenie wysiłków finansowych.

Udzielanie rektorom prawa do załatwiania we własnym zakresie podań studentów, skreślonych z listy słuchaczy, o zwolnienie od opłat dodatkowych przy ponownym wpisie, nie uniemożliwia powrotu do studjów tym słuchaczom, którzy opłatę wniosą po upływie terminu prekluzyjnego.

Ulga powyższa nie będzie miała zastosowania w przypadkach skreśleń karnych, t. zn. powstałych wskutek usunięcia słuchacza ze szkoły na podstawie orzeczenia komisji dyscyplinarnej, ani też w razie

ogłoszenia ponownych wpisów po otwarciu szkoły wskutek zamknięcia w ciągu roku akademickiego.

Wiedzieć pożytecznie, że przy ulicy Nowogrodzkiej 3 tel. 9.47.62 w Warszawie jest czynne, bez przerwy „Pogotowie Elektryczne”. W razie potrzeby tam się zgłaszać.

Nietylko wiedzieć trzeba, ale należy do kobiet, pań domów, opiekunek rodziny, aby pilnie czuwały nad sprawą wykładów i nauczania religii w szkołach. Trzeba się ciągle dobrze informować, i każde uchybienie w tej dziedzinie otaczać czynnie, to znaczy docierać do źródeł kierowniczych, dopóty chodzić, dopóty się upominać, dopóty przedstawiać słuszość swej sprawy, aż ona zostanie uznana i wysłuchana. Wobec prądów, które zewsząd nas otaczają, wobec hasła powrotu do pogaństwa nawet, my wierne sługi Nauki Chrystusowej, twardo stać winniśmy przy jej głoszeniu i nieustępliwie wymagać tego od kierownictwa naszych szkół.

Wiedzieć trzeba, że Biblioteka Publiczna przejęła od wydziału opieki społecznej lokal na Grochowie, mieszczący się przy ul. Podskarbińskiej w osiedlu miejskiem.

Lokal ten składa się z sali i 2 pokoiów, gdzie będzie zorganizowana nowa miejska biblioteka dla dzieci.

Obecnie lokal się odświeża i mebluje. Będzie on mógł pomieścić około 150 dzieci. Placówka ta będzie uruchomiona 1 lutego i jest przeznaczona na obsługiwania mieszkańców miejskiego osiedla (około 3.000) i znajdującej się w sąsiedztwie świeżo wybudowanej miejskiej szkoły powszechnej.



Nie ruszaj sive włosy

DYSKRETNE, NIEODSTRZEGALNIE DLA OTOCZENIA MOŻNA USUNĄĆ ZA POMOCĄ ZUPEŁNIE NIESZKODL. ŚRODKA: „REGENERATOR „ORIENTINE” KTÓRY NIE PŁAMI, NIE BRUZI, POZWALA NA WIECZNA ONDULACJE. STOSOWANIE „ORIENTINE” NIE WYMAGA OBCYJ POMOCY, A WIĘC JEST DYSKRETNE I NIEDROGIE.

ORIENTINE
„PARF. d'ORIENT” WARSZAWA.

ZADAJCIE WIĘC WSZĘDZIE TEN NIEZAWODNY ŚRODEK NA SIWE WŁOSY



PROSZKI „MIGRENO-NERVOSIN”

Kogutek

ZASTOSOWANIE: GRYPA, PRZEZIĘBIENIE I L.

ZADAJCIE OBYWIEKTYWNE WSKAZÓWKI NA „KOGUTKIE”

PATRZĄCIE JAKIE PROSZKI WAM DAJĄ
GOŁY SA JUŻ NAŚLAODOWNICTWA.

ORYGINALNE PROSZKI „MIGRENO-NERVOSIN” — KOGUTKIEM

SA TYLKO JEDNE
I ZAMIEĆ Z RYSUNKIEM KOGUTKA

PROSZKI „MIGRENO-NERVOSIN” SA TEŻ W TABLETKACH

HAFTY MAZOWIECKIE

Wprawdzie zima jeszcze, śnieżno na świecie, warto jednak ułożyć plany jak ozdobimy na lato suknie nasze, dziecięce ubrania, poduszki na werandy i różne letnie stroiki.

Lecz w tym sezonie możnaby przystosować wzory ludowe z okolic Warszawy do przybrania modnych sukien z płótna szarego lub białego, z lekkich etamin, batystów i bombaków.

Gdzie one były, czy są? Niestety, niema ich już wśród ludu, a nawet pamięć o nich zaginęła, lecz wyszukamy je w skarbcach, w muzeach, gdzie oczekują tylko tej chwili, by wykwitnąć na sukniach z całym swym wdziękiem. Były one ułożone z dużych motywów kwiatów rozrośniętych szeroko po obu stronach wijącej się fali.

Starsze kobiety wyszywały na szerokich rękawach piękne wzory czarnym jedwabiem, lub bawełną. Młodsze zaś stroiły je w bogate hafty amarantowe, lub szyte „zapałową” nicią. Barwa „zapałowa” była tak czerwona, jak wsypy na poduszki zwane zapałem.

Na fotografii widzimy wycinek z mapy „Rozmieszczenia haftów ludowych w Polsce”, gdzie rozwija się pas haftów mazowieckich, rozłożony na prawym brzegu Wisły, od Maciejowic przez Garwolin, Mińsk-Mazowiecki, dalej na lewym brzegu przez Górę Kalwarji, aż do Wilanowa, Zawady i Powsina.

Hafty mazowieckie, wyszywane na rękawach koszul kobiecych, na kreczach przy koszulach, na białych batystowych chusteczkach na głowę i na chusteczkach do ręki.

W Zawadzie rozkwitały piękne wzory kwiatowe na rogach chustek na głowę, ułożone w bukiety zdobiące cały wierzch głowy i spadały prawie do połowy pleców.

Cały haft wykonany był ścięciem łańcuszkowym, a więc bardzo łatwym i szybkim w robocie.

Mamy w zbiorze naszym ułożone z tych pięknych chustek wzory na obrusy i serwety. Kompozycja ta zdobi cztery rogi serwet w ten sposób, że wierzchołki bukietów zbiegają w owalu na środku stołu. Do garnituru dobrane są również małe wzorki na serwetki.

Bardzo efektownie wygląda taka biała serwetka wyszyta amarantem, lub wiśniowym jedwabiem.

Piękne wzory wilanowskie nadają się również na ozdobienie pasów na stół, lub na kredens.

Mapa rozmieszczenia haftów ludowych w Polsce, opracowana przez Marję Stefkową, daje obraz różnorodności technik hafciarskich na całym terenie Polski.



Minjatury, rysowane kolorowym tuszem, naklejone na dużej mapie poglądowej Romera, uczą nas, jak bardzo pomysłowy jest nasz wiejski lud, ile ma poczucia piękna i czystości barw.

Nie szukajmy więc obcych wzorów, lecz czerpmy je z naszej bogatej skarbnicy haftów ludowych, nie dajmy im zaginać marnie tak, jak się to dzieje wśród ludu. *Marja Stefkowa.*

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

Mieszkanca Saskiej Kępy. Zupełnie słuszne są obawy Sz. Pani, ale sprawa przeprowadzenia kanalizacji na obszarze Saskiej Kępy — będzie rozstrzygnięta z wiosną roku 1936. Jest to niezbędne i dla terenów przyszłej wystawy i dla coraz liczniejszego zabudowania pięknej nowej dzielnicy wielkiej Warszawy.

Pannie Z. W. z Żoliborza. Zupełnie słusznie poświęca Pani starannej oprawie swój zbiór „ulubionych” książek. I nie jest to żaden „zbytek”, bo dopiero oprawionej książce zabezpieczamy długie bytowanie w zawsze zdrowej formie. Inaczej, jeśli wraca się do przeczytanej książki, lub wypożycza się ją komuś, to już nigdy nie można pewnym być jej całości. Oczywiście oprawa — może być różnorodna. Bardzo skromna i bardzo kosztowna — to już zależy od możliwości, jaką się rozporządza. Polecić Pani możemy bardzo sumienną i doskonałą introliigatorkę, Paulinę Dawison, choć nazwisko ma nieco cudzoziemsko brzmiące, ale jest Polką, katoliczką i bardzo sumienną pracownicą. Adres: ul. Nowowiejska 1 m. 26. Przyjmuje wszelkie roboty w zakres introliigatorstwa wchodzące. Może łaskawa pani napisać do niej miejską pocztą, a chętnie stawi się — po robotę, o którą dziś więcej aniżeli kiedykolwiek każdy się stara.

P. M. K. z Kalisza. — Zjazd owocarski był bardzo liczny, zorganizowało go Tow. Ogrodnicze Warszawskie. Omawiano, między innymi — i sprawę, o którą Pani pyta — a mianowicie: jak najlepiej chronić nasze sady przed mrozami, które tak wielką kiedyś zaznaczyły się szkodą u nas. Najskuteczniej dowie się Pani szczegółów tej sprawy, adresując swe pytanie do Tow. Ogrodniczego — Bagatela 2. Warszawa.

KOSTJUM WIOSENNY



Dajemy dzisiaj model kostjumu na wczesną wiosnę. Składa się on z trzech sztuk: spódniczki połączonej z fantazyjną kamizelką, bluzki i żakietu na moltonie, z kołnierzem lutrowym.

Kostjum może być wykonany z wełny lub aksamitu. Kamizelka z przodu spięta na jeden guzik — takim samym guzikiem spięty pasek w tyle. Pasek powinien być sfałdowany. Dwa małe modele dokładnie pokazują nam krój kamizelki.

Żakiet z przodu spięty dwoma dużymi, fantazyjnymi guzikami.

Bluzka jedwabna, kolorem powinna harmonizować z kostjumem — jedwab może być w drobny rzucik, w kraty, lub gładki. Rękawy szerokie tak przy bluzce, jak i żakiecie.

El. Kotwicz-Onichimowska.

ZADAC WSZEDZIE



**NAJWYDAJNIEJSZE
NAJTRWAŁSZE
IDEALNE w UŻYCIU**

*to nieni do
cerowania i szycia*

TRZY LILJE

OSTATKI

Był to ostatni dzień karnawału — tłusty wtorek, dzień pożegnania smacznych pączków i chróścików, następowała już popielcowa środa — post się zaczyna. W kuchni palił się ogień i smażyły się w wielkim rondlu chróściki i pączki. Gospośnia po kuchni się krzątała, spódniczkami szumiała, koraliczkami dzwoniła, bez przerwy się trudziła. To ciasta wałkowała, to pączki w rondel rzucała, długim widełcem wyjmowała, usmażone cukrem posypywała i tak sobie mrucała: — Ach! to dzisiaj wtorek tłusty, już i kończą się zapusty, zamiast pączków i chróścika, jeść będziemy żur i śledzika. No już wszystko jest gotowe, pachnące złotoróżowe chróściki i krągłe pączki... A teraz umyję rączki i odpocznę odrobinę, by mieć wieczór różną minę. — I szeluszając spódniczkami, dzwoniąc koraliczkami, jeszcze raz się zakrzątnęła, półmiski poustawiała, z faworkami, pączuszkami i innymi frykasami. A śledzia na półmiesieczku, co go poda o północy, trochę z boku postawiła, żeby się nie rzucał w oczy. Furknęły spódniczki, zadzwoniły koraliczki i już jej w kuchni nie było. A tymczasem w kuchni ruch się zrobił. Coś tam z sobą ciastka szeptały, coś lamentowały, nad czymś się naradzały. Wtem skoczył do góry pączek miły aż się osypała zeń cukru połowa, spadł na stół i w takie odezwał się słowa: — Cóż pomoże, o mój Boże, iza i próżny żal. Zamiast płakać, lamentować, urządzimy bal. Niech tam jutro żurek postny panuje i śledź, a nas dzisiaj wtorku tłusty w tan zapustny wieść. Zaraz zacznie się ochota i tancezny ruch. Płaski niechaj w kącie siedzą, a za mną kto zuch! — Okrutnie się ta przemowa spodobała reszcie pączków i chróścików. Więc jęły podrygiwać i podskakiwać aż tumany cukru leciały wokoło. Zakręciło się w nosie naszym pączuszkowi, kichnął więc rozgłośnie, i śmiejąc się, zawołał: — Zapraszamy do tancezka, do oberka! obereczka! wszystkie statki co są wokoło, jak wesoło, to wesoło! Wszystkie me braciszki pączki, zgodnie weźmy się za rączki, chróściki niech staną w pary, niechaj hasa rondel stary, wdzięcznie wzięwszy się pod boki! Niech zatoczą krąg szeroki: garnki, dzbanki i ryneczki, patelnie, łyżki, miesieczki... Ale wtem się chór głosów odezwie: — Bez muzyki na nic tany! Cóż będzie pączku kochany? — Roześmiał się pączek i wykrzyknął: — Pokrywkę niech przygrzywają, noże takt nam wybijają, a kto zresztą chętkę czuje, niech melodję wyśpiewuje.

I zaczął się bal. Pączki skakały jak piłeczki, miski i ryneczki, tocząc się wokoło, pobrzękiwały wesoło, a wszystko się błyszczało i mieniło, dzwoniło i iskrzyło, aż oczy mrużyć trzeba było. Nawet śledź na półmiesieczku ogonem poruszał, ale zaproszony do wspólnej zabawy odparł z godnością: Niech tam sobie skaczą młodzi — śledziowi to nie uchodzi i z byle kim się nie brata, bo duma o losach świata! — Zostawiło go więc roztańczone grono i hasało wesoło, oberek, mazurek, kujawiacek jeden taniec po drugim następował bez przerwy. Wtem krzyk się rozległ żaloszny — to chróścik przytupnął tak z zapamiętaniem, że rozleciał się na dwie połowy. Zatrzymało się roztańczone grono nad lamentującym chróścikiem, ale pączek zawsze pełen pomysłów wykrzyknął: E! Nie łammy sobie główki, gdy się rozpadł na połowę — niech tańczą obie połówki... Dalej tańczemy, czas ucieka... Poczekajcie, poczekajcie — odezwał się nagle głos nosowy śledzia — już niedługo, niedługo, a moje się zacznie władanie — mości panowie i panie. — Jeszcze trochę, panie śledziu, jeszcze potańczymy, jeszcze pora twa nie przyszła — na zegar patrzmy! — Więc śledź zamilkł, a rozbawione towarzystwo tańczyło w dalszym ciągu. Chróścik, zmęczony, poprosił mieszka od rozżarzania węgla, by go trochę ochłodził, jak ci miech dmuchnął, tak góra cukru pofrunęła w górę. Rozległy się okrzyki przerażenia, a miech obraził się i jał sapać: — Jestem sobie miech, mam ci mocny dech. Niepodoba się osobie, że mam tyle mocy w sobie. Nigdy się piec nie pożali, gdy żar w nim mój dech rozpali. Gdy nie możesz wiatru znieść, nie trzeba mnie było prosić. — Sapał tam coś jeszcze, ale nikt już nie zwracał na niego uwagi, bo zaczęto tańczyć krakowiaka. Stał pączek przed muzyką, przytupnął i zaśpiewał: Pączek ci ja pączek, lukrem polewany, tańcząc wesoło od śiany do śiany, od śiany do śiany i wcale nie czuję, że lukier płatkami z niego oblatuje, oj dana! Nie pozostał w tyle i chróścik, przytupnął, ale już ostrożniej i zaśpiewał: Chróścik ci ja chróścik, wesołej natury, co podskoczę w górę, lecąc cukru chmury. Choć się cukier sypie i w nosku mi kręci, wcale do tancezka nie tracę ja chęci. Oj dana!

I tak pokolei każde coś śpiewało o sobie... Wtem wśród najlepszej zabawy, zadzwoniły koraliczki, zafurczały spódniczki, to nadchodziła gospośnia miła, co to było, co to było, jak się

wszystko pośpieszyło, na miejsca, na półeczki, na gzymsy, na półmiesieczki. Rondel stanął koło miski, w rynkę powłaziły łyżki, szklanka pod stół się wtoczyła, a widelec dziwna siła aż na lampę wyrzuciła. Jak się gospośnia dziwiła, jak rączki załamywała, jak psa, kota posądzając, ale w kuchni ich nie było, więc im uszło to na całość, ale co się tam chróścików połamało, popekało, jakie pączki krzywe były, jak się razem polepiły — trudno wszystko ubrać w słowa — naprawić — gospośni głowa.

H. Rostafińska-Choynowska.

WIERSZYK DO ZGADYWANIA

Wkoło białe śniegu puchy
Miękkie jak pierzynka!
Hejże śpieszą na saneczki
Chłopiec i
Z góry na dół pyszna jazda,
Ze aż dech zapiera —
Choć ktoś czasem się przewróci
Cały się
Tylko szczerze się uśmieje,
Z nim wszystko wokoło
Buzie krasne jak jabłuszka
Śmieją się

H. R. Ch.

Wierszyk dla młodszych dzieci, kto pierwszy odgadnie dostanie „Małego Apostoła”.

Rozwiązania przesyłać pod adresem: H. Rostafińska-Choynowska, Warszawa, I, Hoża 50 m. 16 — a może przytem coś o sobie mi napiszecie — zaniędbują mnie czytelnicy, a ja przecież na każdy list odpisuję. Napiszcie mi, o czym ma być następna bajeczka.

ROZWIĄZANIE ZGADYWANKI WYRAZOWEJ Z NR. 1 R. B.

MalinA, AraK, RóżanieC, JelonKI, AmcN, KalejdoskoP, OknO, NeoN, OkO, PacholeK, NorA, ImaJ, CezaR, KabiA, AdaM. — MARJA KONOPNICKA.

Dobre rozwiązania nadesłały: Małgorzata Kakietówna, Warszawa, Barbara Dąbrowska, Quindtówka, Marysia Jordanówna, Stanisławów, Benio Janicki, Gniezno, Jadwiga Krzyżanowska, Bydgoszcz, Bożestawa Waligórzanka Gniszewo, Stefania Kucharska, Skalmierzyce Nowe, Halina Kostecka, Międzyrzec, Jan Jarczyk, Bielszowice, Krawczykówna Marja, Katowice, U. Peikertówna, Grudziądz, Zdzisław Kotowicz, Olkusz, Halina Hankówna, Warszawa, Maciej Ostrowski, Lwów, Oleś Bobrowski, Wilno, J. Miecznikowski, Warszawa, Zdzisław Poniewierski, Kielce, Irena Kapdebo, Warszawa, Bożena Szmídtówna, Dąbrowa Górnicza, Zbyszek Szmídt, Dąbrowa Górnicza, Skawiński Krzemieniec, Zosia Drzymalikówna, Skawina.

Przydzielono 5 nagród książkowych drogą losowania. Książki otrzymali: Zdzisław Poniewierski, Kielce, Zdzisław Kotowicz, Olkusz, Marja Krawczykówna, Katowice, Bożena Waligórzanka, Gniszewo, Jadwiga Krzyżanowska, Bydgoszcz.

Wszystkim uczestnikom konkursu dziękujemy za zainteresowanie się nim i życzymy, by za przyszłym razem los się im uśmiechnął.

U. Peikertównie dziękuję za miły liścik. Napisz mi o czym lubisz najlepiej czytać?

Stefania Kucharska napisała miły i ładny liścik. Witam w niej nową czytelniczkę i cieszę się, że ci się kącik dla dzieci podoba. Choć tym razem nie zostałam nagrodzona, nie trać nadziei i bierz udział w naszych konkursach. Czekam z niecierpliwością listu o szkole. Napisz też o czymbyś chciała czytać w kąciku? Wasze liściki nietylko sprawiają mi wielką radość, ale są mi wielką pomocą, bo z nich dowiaduję się co Was interesuje i zajmuje.

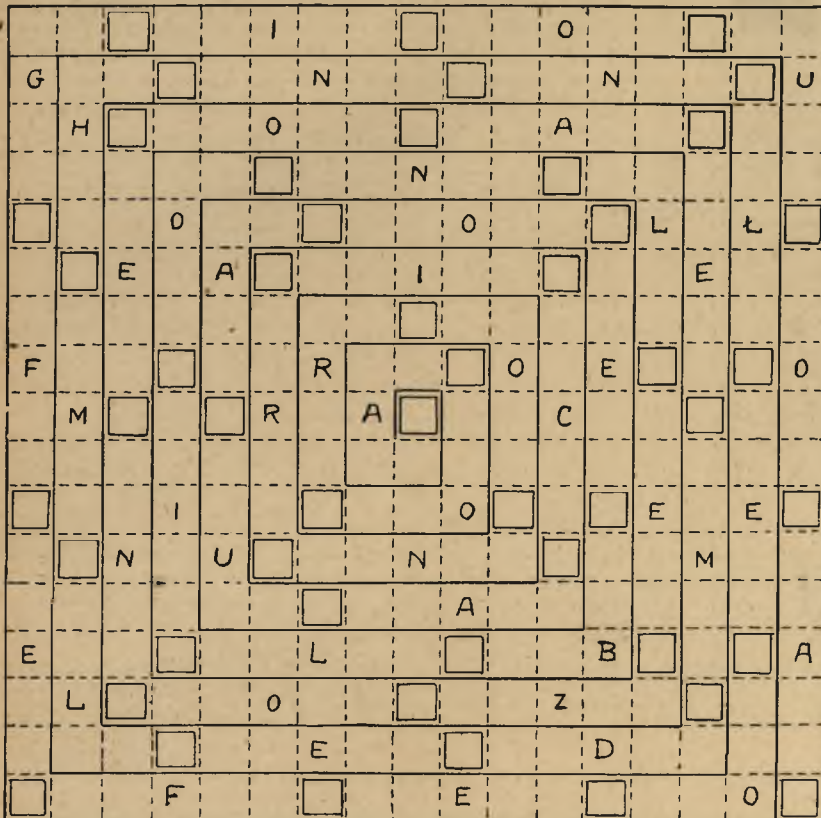
Bożeni i Zbyszkowi Szmídtom za dobre życzenia i serdeczny liścik bardzo dziękuję i mam nadzieję, że jeszcze nie jeden do mnie napiszecie.

Basia Dąbrowska niech w dalszym ciągu zagląda do „kącika”, może znów niedługo znajdzie jaką zgadywanke.

Marysi Jordanównie, mojej wiernej korespondentce za życzenia świąteczne dziękuję i w tych dniach dłuższy list pocztą napiszę.

H. R. Ch.

ŚLIMACZNICA



Zaczynając od środka, należy wpisać w kratki figury 48 wyrazów siedmio-literowych o niżej podanych znaczeniach w ten sposób, aby ostatnia litera każdego wyrazu była zarazem początkową następnego. Litery w kratkach obramowanych, czytane od środka, dadzą rozwiązanie aktualne, które podać można bez wyrazów pomocniczych.

- Znaczenia wyrazów:** 1. Miasteczko w Łomżyńskim. 2. Jeden z twórców powstania listopadowego. 3. Dochód (zysk). 4. Byt bezwzględny (filoz.). 5. Rodzaj orkanu. 6. Miasteczko fabryczne w Łódzkiem. 7. Rysunek ozdabiający okładkę książki. 8. Miasto w Korsyce. 9. Kwas szczawiowy. 10. Założyciel Zakonu Redemptorystów. 11. Jeden z sułtanów otomańskich. 12. Mineral z rz. krzemianów. 13. Herb. 14. Roślina z rodz. mirtowatych. 15. Wyspa holenderska. 16. Większy oddział wojska. 17. Przyrząd mechaniczny. 18. Wyspa na oceanie Indyjskim. 19. Pisarz niemiecki (1827-96). 20. Miasto w Poznańskim. 21. Kwas szczawiowy (1756-1814). 22. Miasteczko w Poznańskim. 23. Dzik. 24. Konstelacja. 25. Rodzaj przesądu. 26. Przeczenie. 27. Imię żeńskie (wspak). 28. Stan w Ameryce Półn. 29. Emalja. 30. Postać z Odprawy posłów greckich. 31. Prąd literacki. 32. Sekta religijna. 33. Choroba. 34. Fortyfikacja obronna. 35. Znany malarz niemiecki. 36. Tumult (panika). 37. Burmistrz (wójt) we Włoszech. 38. Miasto w Abisynji. 39. Odstępca od wiary. 40. Znaki zwycięstwa. 41. Ptak. 42. Hrabstwo w Anglii. 43. Plemię turecko-tatarskie. 44. Entomolog niemiecki (1775-1813). 45. Pisarz chorwacki (1815-1854). 46. Przyrząd do wstrzymywania (wspak). 47. Naród z okresu wędrowki narodów. 48. Przesłuchanie z postępów w nauce.

A. Telatycki.

REBUS

Na treść rebusu składa się trzy wyrazy, o literach początkowych: P, s, d (jubileusz tegoroczny).

„Wirenel“ (czł. Kl. Sz.).

Za rozwiązanie powyższych zadań (lub choćby jednego) przeznaczają Redakcja do rozlosowania nagrody książkowej.

Termin nadsyłania rozwiązań trzytygodniowy.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ

Z NUMERU GRUDNIOWEGO 1935 ROKU.
 Szarada: Mija rocznica sprzysiężenia listopadowego.

Rebus: Potęga Polski to morze.

Rebus: Spiesz się powoli.

Szaradka: Zuzanna.

Nagrodę książkową otrzymuje p. Wacław Bultrowicz, Gniezno.

HALLO! SZARADZIŚCI!

Już wyszedł z druku nr. 38 (lutowy) „ROZRYWKI“ (org. Klubu Szaradzystów w Warszawie) o bogatej treści zadaniowej. Prenumerata kwartalna 2 zł. Konto P. K. O. nr. 2048 lub przekazem rozrachunkowym. Adres: Warszawa, Żulińskiego 7 m. 10. Żądajcie bezpłatnych numerów okazowych!

M. Śl.

**RODZINA
 POEZJA
 PADEREWSKI
 DZIECI
 CZAS
 WYWIAD
 POLSKA**

1436-
 -1936.

gO.

WESOŁY KĄCIK

ZAJĘCIE.

Spotykają się dwaj przyjaciele, którzy dawno się nie widzieli. Jeden pyta:

— Co ty teraz robisz?

— Biorę udział w kryzysie światowym — odpowiada drugi.

DYZENTERJA.

Żołnierzom zastrzykuje lekarz surowicę.

— Panie doktor — zapytuje Srulek —

na co to potrzebne?

— Przeciw dyzenterji.

— Panie doktor, jak ja będę chciał zdezenteretować, to i surowica przeciw temu nie pomoże.

PRZY JEDNYM...

— Podobno mąż pani umarł?

— A tak.

— Długo chorował?

— Wszystkiego trzy dni. Było 5 lekarzy.

— Chwała Bogu, że tyłu, bo miał choć lekką śmierć. Przy jednym byłby się męczy ze dwa miesiące.

Widok przyrody budzi w nas drzemiący kult piękna. Nagie, poszarpane skały, stojące nad rozkołysanym morzem, niebo pokryte czarnymi chmurami i świst wichru jękliwy wzbudza w nas zgrozę połączoną z podziwem nad pięknnością natury. A kiedy oko nasze rozpatrzy się szczególnie, kiedy serce ustąpi rozumowi i na chłodno będziemy się rozglądać dokoła siebie, wówczas zauważymy drugą stronę piękna natury, piękność wyższego rzędu — celowość.

Człowiek, gdy chce czynić, musi sobie postawić cel, do którego ma dążyć. Natura, ażeby mogła rozwijać się prawidłowo, posiada miliony komórek, z których każda ma pewien określony cel swego istnienia. Naprzykład w świetle słonecznym znajdują się trzy rodzaje promieni: ogrzewające, świecące i chemiczne. Roślinom potrzeba wszystkich tych rodzajów, lecz nie jednocześnie. Do kiełkowania przyczyniają się głównie promienie świetlne, które rozkładają kwas węglowy oraz chemiczne, które podniecają inne pierwiastki do związków organicznych. Do owocowania służą, promienie ogrzewające, przeszkadzałyby zaś chemiczne i świetlne ze względu na to, że pędzą zanadto wegetację. Otóż taki jest właśnie stosunek między naturą światła a biegiem i pochylem ziemi względnie osi, że na wiosnę, kiedy chodzi głównie o bujny rozwój roślinności, panują promienie chemiczne, w lecie dorównują im ogrzewające i świecące, a ku jesieni te ostatnie i chemiczne maleją, pomnażają się zaś ogrzewające.

Wszystko co nas otacza w przyrodzie i w świecie zwierzęcym, urządzone jest w podobnie rozumny sposób. Uczni, którzy zajmują się badaniem tych tajemnic, nie znaleźli jeszcze nigdzie i nigdzie niecelowego istnienia jakiegokolwiek rzeczy. Wszystko oparte jest na niepisanych prawach przyrody i wszystko im ulega. Niewzruszoność tych praw i celowość urządzeń natury stanowi podstawę istnienia wszechświata.

Jeżeli teraz zwrócimy uwagę na człowieka, w życiu jego stwierdzimy to samo.

Przedewszystkiem organizm ludzki jest wzorem nader dokładnie zbudowanej maszyny. Nic tam niema niepotrzebnego, natomiast wszystko uzależnione jest wzajem od siebie i dąży do jednego celu utrzymania życia w człowieku. Płuca służą do oddychania, oddech oczyszcza krew, której krążenie w żyłach powoduje ciepłość, żołądek trawi i dzieli pokarm na zbędny i potrzebny do budowania nowych tkanek organizmu na miejsce zużytych. Z chwilą złego funkcjonowania jednego z narządów, całkowita równowaga współpracy innych ulega zachwianiu. Medycyna określa to mianem choroby. Mamy ich bez liku. Są więcej lub mniej niebezpieczne. Uleczalne i nieuleczalne. Jedne przychodzą drogą dziedziczenia po przodkach, inne zostają nabyte. Są wreszcie i takie, których przyczyn nauka odnaleźć nie może. Miljony ludzi umiera rocznie na raka. Medycyna jest bezsilna zwłaszcza, kiedy rak powstaje nie na skórze lecz wewnątrz organizmu. Leczenie polega raczej na przedłużaniu życia pacjentowi i zmniejszaniu jego cierpień. Niedługo jednak trwa walka lekarzy ze śmiercią i nie było wypadku na świecie, aby rak wewnętrzny został uleczony kiedykolwiek drogą zazywania odpowiednich lekarstw lub operacji.

Drugą straszliwą plagą ludzkości są suchoty. Jeśli ktoś na samym początku tej choroby podda się gorliwemu leczeniu i spotka się ze sprzyjającymi warunkami życia, może odzyskać zdrowie i żyć długo. Natomiast rozwinięte suchoty są z zasady nieuleczalne i nieszczęśliwego czeka śmierć rychła.

W Lourdes od roku 1914-go suchoty w stanie rozwiniętym zostały uleczone bez śladu w 747 wypadkach, rak w 25 wypadkach, choroby organów trawienia 583, choroby złego krążenia krwi 96, choroby serca 55, ślepoty 52, głuchoty 28, reumatyzmów 168, chorób skórnych, wrzodów i ran 294 oraz innych 481.

Oto jest wspaniałe zniwo Matki Boskiej z Lourdes!

Nie należy przytem zapominać, że we wszystkich wyżej przytoczonych wypadkach najwybitniejsi lekarze świata uznali bezsilność wobec tych chorób. A jednak wystarczyła jedna chwila krótsza niż blask błyskawicy, a chorzy, częstokroć skazani na śmierć i dogorywający, podnosili się zdrowi, silni i weseli.

Olbrzymia ilość chorych została uleczona nie przy pomocy kąpeli w Grocie. Odzyskali oni zdrowie podczas procesji z Przenajświętszym Sakramentem. Dowodzi to niezbicie, że właściwości lecznicze tej wody, przypisywane jej przez przeciwników boskości, były bezpodstawne. Krótko mówiąc, głupie! Analizy naukowe wykazały nawet, że w wodzie tej niema zupełnie soli chemicznych posiadających znaczenie lecznicze. Woda z Groty okazała się zwyczajną wodą, jakich mamy tysiące i miliony wśród wszystkich gór świata!

Któż więc tych ludzi uzdrawia?

Jedna jest tylko odpowiedź: Bóg!

W biurze lekarskim w Lourdes panuje niesłychana skrupulatność i drobiazgowość w stwierdzaniu prawdziwości cudów. Znajduje się tam tysiące zaświadczeń podpisanych przez 13 członków Akademii Medycznej w Paryżu, 36 najwybitniejszych profesorów różnych uniwersytetów, 130 słynnych specjalistów od chorób wewnętrznych i chirurgii, 80 ordynatorów szpitalnych oraz 3.000 innych lekarzy różnych narodowości z całego świata.

Liczyby te mówią same za siebie! W ten sposób uczeni wydali swoje opinie i przyznali się, że ich wiedza okazała się niewystarczającą do opanowania i zwyciężenia chorób, które w Lourdes za wstawiennictwem Matki Boskiej znikły bez śladu.

Cud przeczy niewzruszonym prawom natury i jej celowości, lecz to właśnie stanowi jego boskość i potęgę. Wbrew wszelkim przewidywaniom i obliczeniom, wbrew wiedzy ludzkiej, która uznała śmierć i określiła w wielu chorobach czas jej nadejścia, chorzy nie umierali i nie leczyli się więcej. Kto jest bowiem Twórcą praw, może je zmieniać dowolnie według Swego upodobania. Rzetelność powyższego wniosku nie podlega żadnej dyskusji.

W ostatnich czasach wystąpiono przeciwko Lourdes, że uleczenia dokonywane są tam dzięki sugestji. Oddajmy zatem głos jednemu z najwybitniejszych psychjatrów świata, profesorowi Bernheimowi, który piastuje urząd dyrektora szpitala dla nerwowo chorych w Nancy. „Jeżeli neurastenia jest dziedziczna, jeżeli jest następstwem złego układu w systemie nerwowym, wtedy jest nieuleczalna. Próbowałem pozatem wielokrotnie leczyć przez sugestję melancholję, hipochondrję, manję prześladowczą, konwulsję, epilepsję i nigdy mi się to nie udawało! Można wyleczyć jedynie to, co jest uleczalne. Sugestia nie może odbudować tego, co zniszczone!”

Znakomity uczony dr. Vergez, profesor uniwersytetu w Montpellier, który przez 30 lat badał wypadki cudownych uleceń w Lourdes, wydał następujące opinie: „widziałem i dotykałem się dzieła boskiego — cudu! Widziałem wodę zwykłą, obdarzoną siłą nadnaturalną. Wyrwać śmierci dziecko konające, zwrócić wzrok, dać pełnię ruchów członkom sparaliżowanym, zagoić głęboki, ropiejący wrzód — oto jej działanie. Inne, idące w ślad za temi, dokonane podczas procesji, były niemniej zdumiewające. Choroby uznane przez medycynę za absolutnie nieuleczalne, jak suchoty w ostatnim stopniu, rak i paraliż postępowy znikają bez śladu!”

Widzimy więc z powyższego artykułu, że cały świat naukowy uznał boskość cudów w Lourdes i ukorzył się przed potęgą Boga. Możemy zatem powtórzyć słowa niewidomego, który uleczony przez Chrystusa, odpowiedział na pytania faryzeuszów:

— To wiem jedynie, że byłem ślepy, a teraz widzę! Jakże piękne są te słowa w prostocie prawdy!